

Lubelska Wyprawa Medycznego Klubu Turystycznego w Himalaje Lahulu

Tam, gdzie nie dochodzą święte krowy

Dawne tybetańskie księstwa Lahul i Spiti obejmują fragment grzbietu Himalajów w dorzeczu rzek Chandra, Bagha (łańcuch CB) i Spiti. Rejon ten położony jest obecnie w indyjskim stanie Himachal Pradesh, niespełna 100 km od granicy z Chinami. Szczyty górskie nie przekraczają tutaj 7000 m, ale większość dolin i tutejszych wiosek zlokalizowana jest powyżej 3000 m n. p. m. Chmury zachodniego monsunu zatrzymują się na południowych stokach Himalajów Właściwych, rzadko docierając do głównego transhimalajskiego grzbietu. Dlatego klimat w Lahul i Spiti, czyni z tych regionów jeden z najbardziej niegościnnych obszarów na świecie.

DR N. MED. PIOTR PAPRZYCKI
INSTYTUT MEDYCyny WSI

DR N. MED. PAWEŁ KRAWCZYK
KATEDRA I KLINIKA PNEUMOLOGII
ONKOLOGII I ALERGII
UM W LUBLINIE

Kamienna pustynia smagana wiatrem i palącym słońcem, z lodowcami wśród niedostępnych szczytów jest połączona z cywilizacją tylko jedną drogą. Przez 4-tysięczną przełęcz Rohtang droga ta łączy miasto Manali w żyznej Dolinie Kullu ze stolicami obu regionów – Keylong oraz Kaza. Wyboisty szlak, uznawany za drugą najwyższą utwardzoną drogę na świecie, prowadzi z Keylong do magicznego księstwa Ladakh. Spiti do niedawna połączone było także drogą jezdnią ze stolicą Himachal Pradeshu – Simlą. Obecnie śmiałowicie chcący dostać się stąd do Kazy, muszą pokonywać rzekę Spiti na linie, w stalowym koszu. Niepowtarzalny charakter Spiti i Lahulu wynika nie tylko z izolacji tych terenów. Geograficzna i historyczna przynależność księstw do Zachodniego Tybetu i polityczne zawirowania, które rzuciły te krainy do Indii, spowodowały, że właśnie tutaj w nieskrępowany sposób może rozwijać się religia buddyjska. W licznych starych klasztorach



(*gompas*) żyją wciąż tybetańscy mni-
si, a podróżni, którzy znaleźli się tu-
taj, są w prawdziwym Tybecie – innym
niż ten pod chińską okupacją.

To właśnie w tej scenerii 35 lat te-
mu rozegrał się pierwszy epizod w hi-
storii polskiego powojennego himala-
izmu. Jest jawną niesprawiedliwością,
że w naszej literaturze górskiej, włącznie z monumentalną Encyklopedią Gór i Alpinizmu, Polaków w Himalajach zauważa się dopiero w 1974 roku, wraz z wyprawą kierowaną przez Piotra Młoteckiego na nepalski Kangbachen. Nie ujmując nic wspaniałej osobie Młoteckiego, Polacy pojawili się w Himalajach rok wcześniej i nie w Nepalu, lecz w Lahulu. Opisy pierwszych himalajskich kroków naszych wspinaczy skrywa tajemnicza zasłona. Zostały one skrzętnie schowane na połówkach kartkach małej, niedostępnej nawet w bibliotekach książeczki [1], paru zakurzonych sprawozdań i roczników lokalnych czasopism oraz w tekście znanej piosenki Budki Suflera [2]. Przyczyną tej sytuacji

był prawdopodobnie fakt, że wyprawę organizował prowincjonalny Lubelski Klub Wysokogórski, a nazwiska bohaterów dramatu nie pojawiły się już więcej w doniesieniach o sukcesach polskiego himalaizmu.

Pomysłodawcą i motorem organizacyjnym wyprawy w Himalaje Lahulu w 1973 roku był Zbigniew Stepek, prozaik i redaktor Radia Lublin oraz alpinista, który swoje doświadczenie zdobywał w Alpach, Hindukuszu i górach Mongolii. Wśród 12 uczestników znalazł się także późniejszy profesor filozofii i prezes Lubelskiego Klubu Wysokogórskiego – Zdzisław Jerzy Czarnecki oraz obecny dyrektor Muzeum Lubelskiego – Zygmunt Nasalski. Wyprawa nie miała oficjalnego statusu ekspedycji narodowej, ale uzyskała akceptację Zarządu Głównego KW. Wobec skromnego przydziału dewiz uczestnicy podróżowali do Delhi pociągami i autostopem przez ZSRR, Afganistan i Pakistan, a potem lokalnym autobusem, aż do miejsca założenia bazy w osadzie Batal u stóp łań-

cucha CB. Pierwotnym celem wyprawy miał być rejon Lodowca Bara Shigri w okolicy wspaniałego szczytu Dharamsura (Biały Żagiel). Z powodu napięcia na granicy indyjsko-chińskiej, lubelska wyprawa uzyskała pozwolenie na atakowanie innego, 6-tysięcznego szczytu o symbolu CB12 (6248 m n. p. m.).

W roku 2006, po zakończonej sukcesem wyprawie na Aconcagua, w lubelskim Medycznym Klubie Turystycznym zrodził się pomysł zorganizowania wyprawy, która eksplorowałaby miejsca działania wyprawy z 1973 roku. W ten sposób zdecydowaliśmy się połączyć nasze pasje górskie z odkrywaniem i upamiętnianiem przeszłości. Poczuliśmy się niczym detektywi, kiedy w miarę zgłębiania sprawy wyłoniła się przed nami niemal filmowa historia (nota bene na kanwie historycznych wydarzeń z 1973 roku czechosłowacka wytwórnia filmowa miała rzeczywiście kręcić pełnometrażowy film). Dowiedzieliśmy się o wartym podziwu zapale organizacyjnym,

konflikcie osobowości i ambicji, sukcesie okupionym wielkim zmęczeniem i tragedią górskiej śmierci, które miały wówczas miejsce.

14 sierpnia 2008 roku w środku nocy i monsunu wylądowaliśmy na lotnisku w Delhi. Nasza wyprawa składała się z 6 osób: **Mariusza Baskurzyńskiego, Rafała Dmowskiego, Michała Grylickiego, Emiliana Klimka, Pawła Krawczyka i Piotra Paprzyckiego.** Była oficjalnie zarejestrowana w Indian Mountaineering Foundation i Dyrektor Fundacji – podpułkownik Dahiya wydał nam pozwolenie na zdobywanie szczytu CB13A (6240 m n. p. m.) z przydziałem oficera łącznikowego. Był nim 23-letni Dharmender Kapur, którego nazywaliśmy Montu. Rejsowym autobusem wyprawa dotarła do Manali, gdzie dołączył do nas nepalski kucharz Mani Kumar.

W Manali gościny użyczył nam dawny Instytut Himalajski, w którym do dzisiaj przechowywany jest proporzek Polskiego Klubu Wysokogórskiego z 1973 roku. Przed czekającą nas podróżą regenerowaliśmy siły w gorących źródłach, bijących wśród świątyń pobliskiej wioski Washisht. 22 sierpnia samochodem terenowym najpopu-

larniejszej w Indiach marki „tata” wyruszyliśmy przez karkołomną przełęcz Rohtang do bazy w Batalu nad Rzeką Księżycową (Chandra River). Następnego dnia penetrowaliśmy już podnóże 400-metrowego lodospadu Batal.

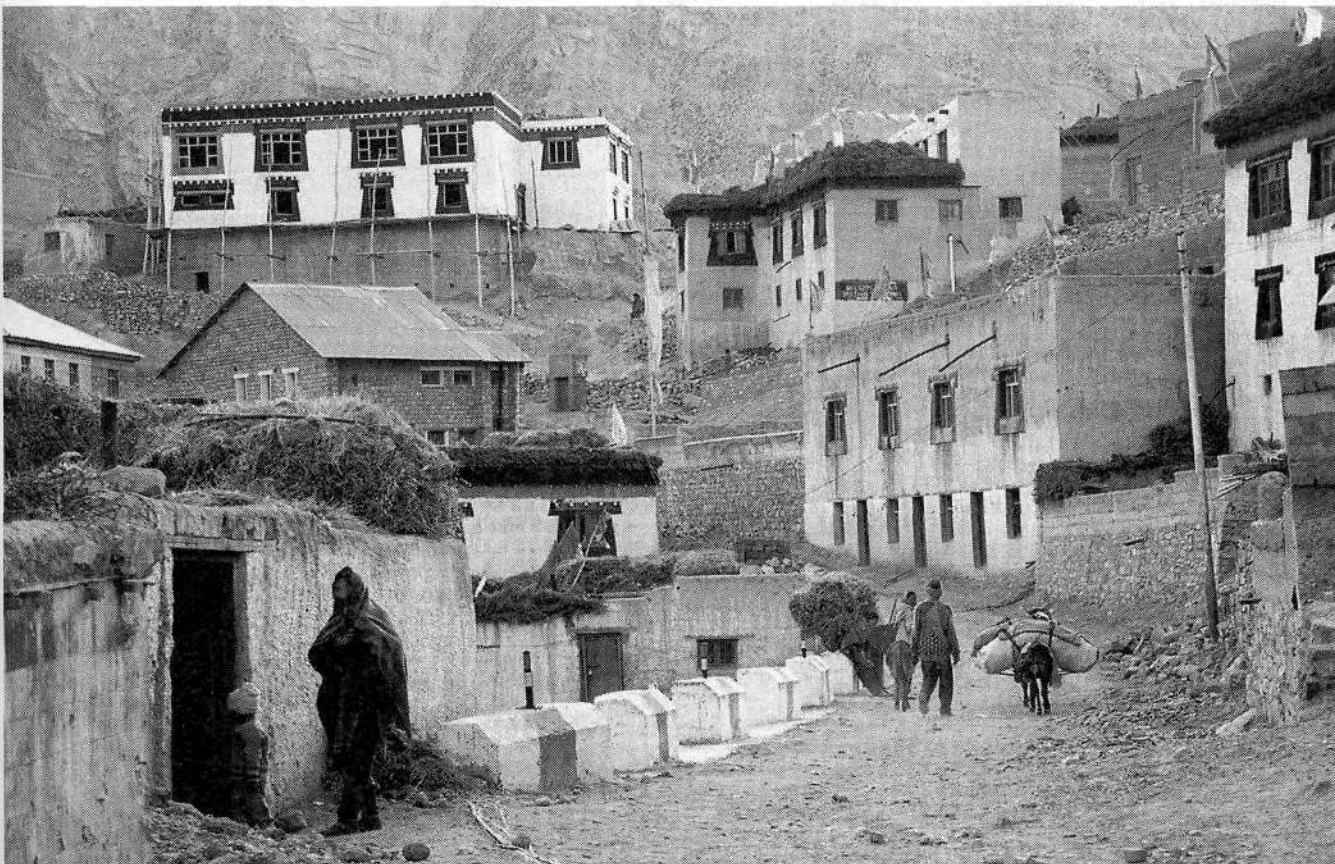
35 lat wcześniej, 15 sierpnia herbarciarnia w Batalu rozbrzmiewała muzyką, a miejscowe piwo z jęczmienia lało się strumieniami. Hindusi wspólnie z Polakami obchodzili dzień niepodległości Indii. Lubelska wyprawa miała wówczas założoną bazę wysuniętą u podnóża lodospadu. Powstały jednak kontrowersje co do sposobu zdobycia szczytu. Zbigniew Stepek forsował pomysł pokonania drogi przez lodospad zamykający dolinę Batal tuż pod CB12. Zdzisław Czarnecki proponował szukać dojścia na szczyt przez grań po orograficznie lewej stronie doliny. Grań wyprowadzała na główny grzbiet masywu CB, skąd przez szczyty CB13A oraz CB13 można było prawdopodobnie osiągnąć wierzchołek CB12. Czarnecki przekonywał, że będzie to bezpieczniejsze i technicznie łatwiejsze rozwiązanie niż pokonanie lodospadu. Różnica zdań okazała się na tyle istotna, że doszło do podziału zespołu. Grupa Stepka przystąpiła do prze-

chodzenia i poręczowania lodospadu, a 3-osobowa grupa Czarneckiego wyszła na rekonesans po grani CB13 [3].

Zmiany klimatyczne spowodowały, że obecny lodospad skurczył się i stał się stabilniejszy. Lodowiec Batal jest jednak teraz tak uszczeliniony, że nie sposób było znaleźć miejsca, w którym stała baza wysunięta lubelskiej wyprawy z 1973 roku. Dopiero kolejne rekonesanse na położoną po przeciwnej stronie Rzeki Księżycowej przełęcz Kunzum, z której dobrze widać szczyty CB12, CB13, CB14 i CB16 oraz do sąsiadującej z Lodowcem Batal doliny Kudu, umożliwiły nam znalezienie lepszego dojścia do grani, którą wyruszył w górę zespół Czarneckiego.

Rekonesans Czarneckiego, Kucypiera i Kubita zamienił się ostatecznie w wejście w stylu alpejskim – z dwukrotnym biwakiem – na dziewiczy wówczas wierzchołek CB13A. Kiedy zdobywcy wyczerpani schodzili do bazy wysuniętej 17 sierpnia 1973 roku, Zbigniew Stepek i Andrzej Grzązek przeszli i zaporęczowali lodospad. Prawdopodobnie z powodu późnej pory dnia i złych warunków atmosferycznych, obaj himalaiści zostali w czasie schodzenia porwani i zasypani przez





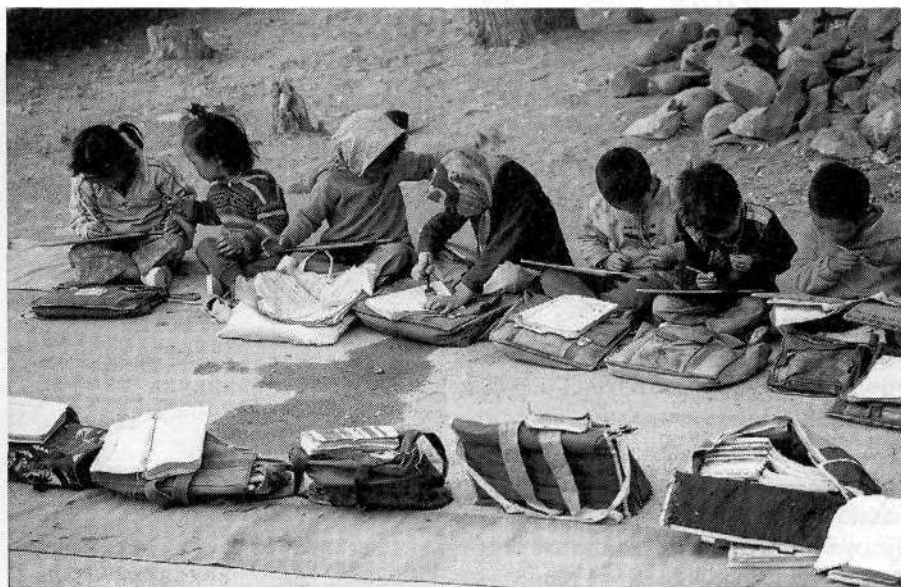
lawinę seraków. Podjęte przez pozostałych członków ekspedycji przeszukiwanie lodospadu zakończyło się niepowodzeniem z powodu wielkiego ryzyka lodowych lawin. Dopiero dwa tygodnie później część lubelskiej wyprawy powróciła w rejon feralnego lodospadu wraz z hinduskimi wspinaczami uczestniczącymi w kursie zorganizowanym przez Instytut Himalajski. Mimo akcji ratunkowej nie udało się odnaleźć ciała Zbigniewa Stepka i Andrzeja Grzązka. Radość z pionierskiej eksploracji gór mieszała się ze smutkiem i goryczą. Zanim czas przyniósł wyprawie zapomnienie, nastąpiło poszukiwanie winnych, medialna polemika i oskarżenia o nonszalancję i zaniedbanie.

Po kilku dniach akcji i po założeniu depozytu w miejscu, gdzie miał stanąć nasz pierwszy obóz na skraju lodowca w Dolinie Kudu, zeszliśmy na zasłużony odpoczynek do bazy. Przez ostatnie lata nad Rzeką Księężycową powstał mały cmentarzyk poświęcony himalaistom, którzy zginęli w okolicznych górach. Wśród symbolicznych kamiennych nagrobków odszukaliśmy nasz polski, wykuty przez miejscowego

górala 35 lat temu według wskazań członków wyprawy, którzy zostali na miejscu do ostatnich dni akcji ratunkowej – nawet wtedy, gdy nie było już nadziei na odszukanie Stepka i Grzązka. Postawiliśmy świeczki i odmówiliśmy modlitwę – następnego dnia sami mieliśmy rozpocząć wspinaczkę na szczyt.

Nasza droga na szczyt prowadziła najpierw wzdłuż rzeki, następnie stromym piarżyskiem do pierwszych skał

grani. Obchodziliśmy te skały poniżej i moreną docieraliśmy do doliny u stóp szczytów CB13 i CB14. Wyplaszczenia lodowca umożliwiały tu rozbięcie namiotów na wysokości ponad 5000 m n. p. m. Rozpoznanie w głąb doliny, do stromego płata śniegu, który dawał nadzieję wejścia na szczyt, nie przyniosło pozytywnego rezultatu. W związku z tym 29 sierpnia wyruszyliśmy wczesnym rankiem na grań Czarnec-

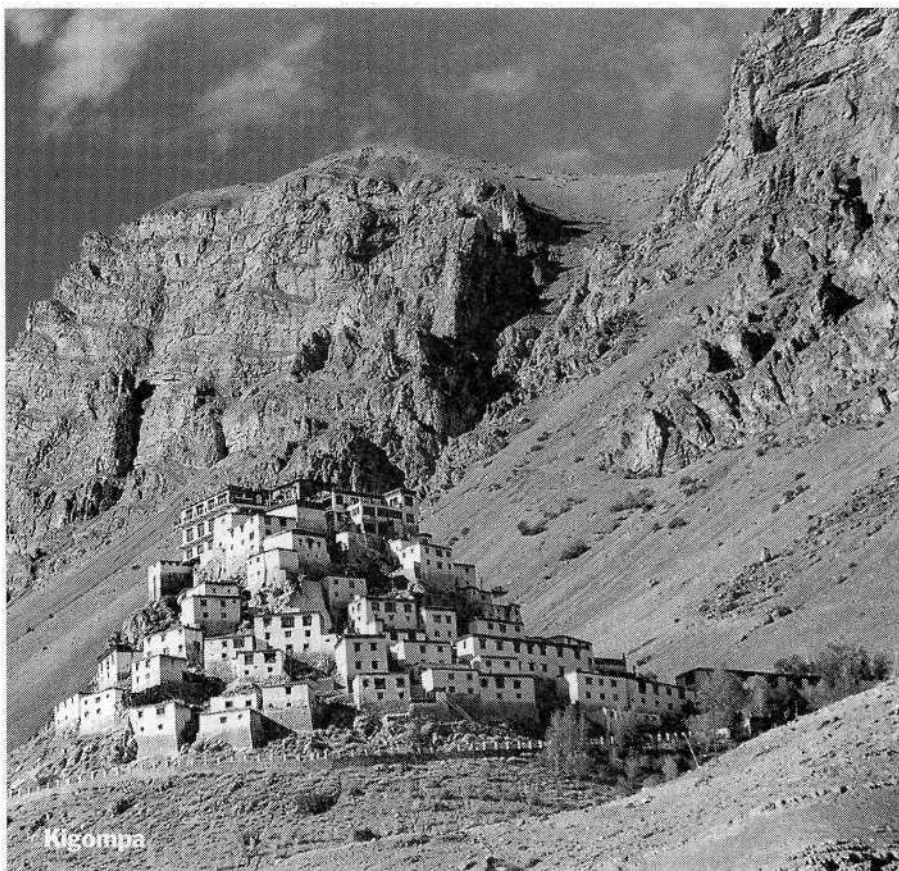


kiego przez uciążliwe piarżysko, wznoszące się tuż nad obozem. Na małą przełęczkę w grani dotarliśmy używając czekanów i liny, tak jakbyśmy wspinali się w stromym lodzie, a nie w kruchej skale. Dalsze trudności grani nie przekraczały III stopnia, jednak niezmierna kruchość łupkowej skały i osypujące się, strome gruzowiska powodowały, że wspinaczka stała się niebezpieczna i czasochłonna.

Przystąpiliśmy do pokonywania najbardziej kruchego terenu, zrzucając co chwila kamienne lawiny. Najtrudniejsze turnie w grani przeszli ostatecznie Mariusz Baskurzyński i Emil Klimek. Emil wycofał się jednak przed osiągnięciem ostatniej przełęczy pod kopułą szczytową i tylko Mariusz kontynuował wspinaczkę. Po pokonaniu rozległego płata śniegu dotarł sam do zwornika w głównym grzbiecie pasma CB o godzinie 15:00. Od wierzchołka CB13A dzieliła go godzina marszu skalno-lodową granią, ale zmęczenie, późna pora i niepewna pogoda zmusiły go do odwrotu. W zejściu Mariusz biwakował i dopiero następnego dnia w gęstej mgle i padającym śniegu udało mu się dotrzeć do obozu.

Należy oddać szacunek zespołowi Czarneckiego, który wspinął się tędy 35 lat temu. Z naszej perspektywy wynika jednak, że przejście w stylu alpejskim granią pomiędzy szczytami CB13 i CB12 byłoby praktycznie niemożliwe. Obecna droga na oba wierzchołki jest w całości lodowcowa i prowadzi z Lodowca South Dakka. Natomiast w 1973 roku najbardziej logiczną drogą z Batału na CB12 wydawał się lodospad, w którym zginął Zbigniew Stepek.

W bazie kucharz Mani Kumar, uradowany naszym powrotem, powitał nas odświętnym *dal bathem*. Zaczęliśmy myśleć, co zrobić z czasem, który pozostał nam do powrotu do Polski. Tego samego dnia, kiedy Rafał wyruszył na Goa, a Mariusz do Kalkuty, pozostała czwórka załadowała się do terenowej taty, a nowy kierowca imieniem Widjei popędził drogą w górę Doliny Chandry do jeziora Chander Tal. Jest ono hinduskim odpowiednikiem Morskiego Oka. Fotografie jego szmaragdowej tafli z odbiciem okolicznych ośnieżonych szczytów obowiązkowo zdobią wszystkie albumy fo-

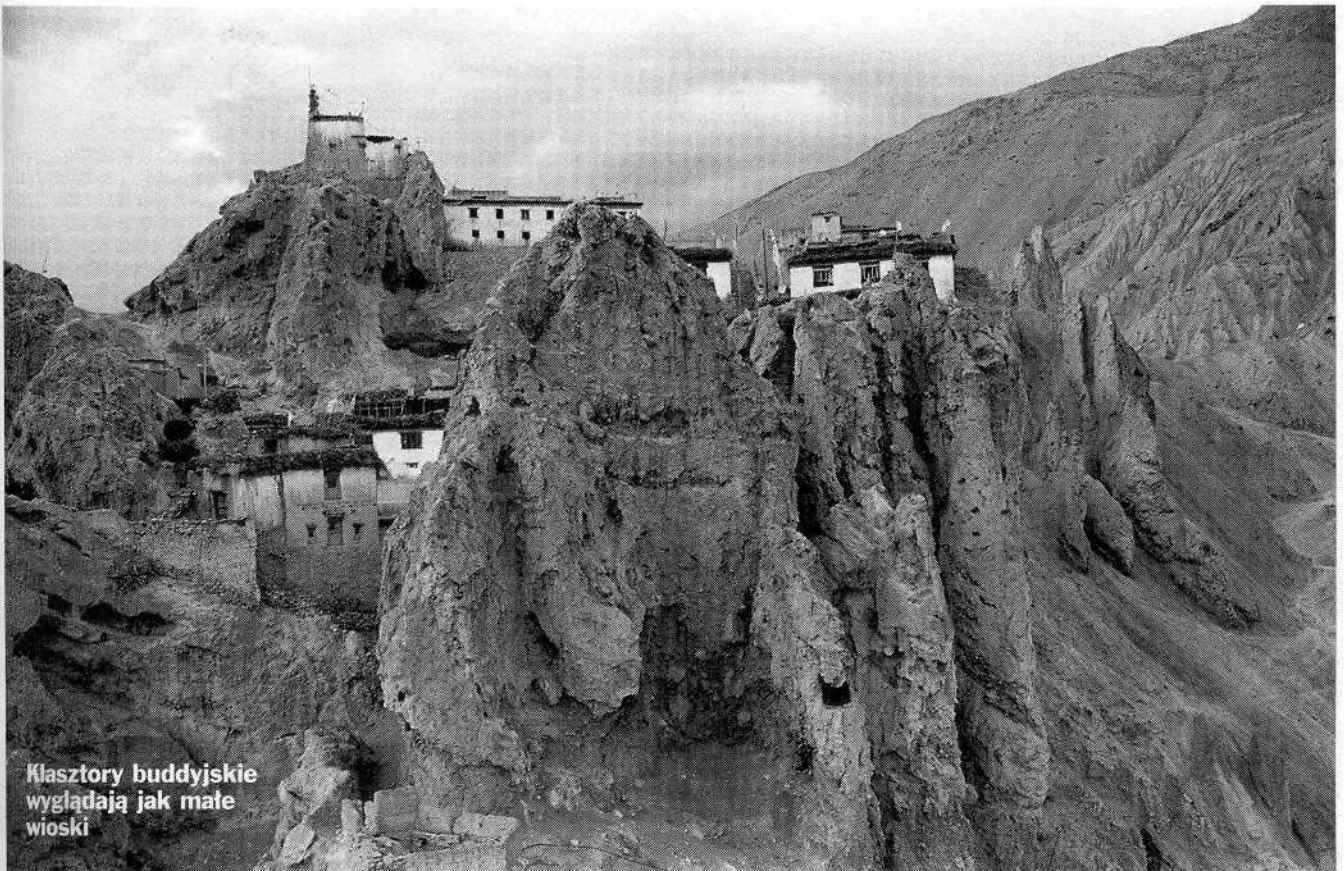


tograficzne Himachal Pradeshu. Jezioro położone jest nieco wyżej niż sama dolina i dzięki temu z otaczających je wzgórz roztacza się imponująca panorama na niemal wszystkie szczyty wielkiego masywu CB. Na pobliskiej łączce rozkłada się w lecie rodzaj campingu, gdzie leżąc na karimatach, można sączyć herbatę z mlekiem i obserwować jak tragarze ładują na plecy sprzęt osobisty i biwakowy trekkerów

z Europy lub Ameryki. Jak przystało na „Morskie Oko” okolice jeziora zaludnia też tłum cywilów w postaci hinduskich nowożeńców i szkolnych wy-cieczek.

Nasz nowy cel – dolina rzeki Spiti – rozciąga się na północny wschód od Lahulu, za przełęczą Kunzum, tuż przy granicy z chińskim Tybetem. Mimo, że Spiti nie jest tak popularne wśród turystów jak pobliski Ladakh, tutejsi





Klasztory buddyjskie
wyglądają jak małe
wioski

mieszkańcy oprócz hodowli bydła i uprawy małych polettek, zaczynają także utrzymywać się z turystyki. Nieco tu schludniej i czystiej niż w niewiarygodnie brudnych wioskach hinduskich, gdzie do produkcji brudu przyczyniają się w znacznym stopniu święte krowy, a te za wysoko nie dochodzą. Zamiast krów w Spiti hodowane są jaki, które wynajmowane są turystom jako zwierzęta juczne. W bocznej doli-

nie Pin można za niewielką opłatą zorganizować trekking z użyciem mułów i jaków po okolicznych wysokich przełęczach, z których roztaczają się niesamowite widoki ośnieżonych szczytów, wyrastających – z zielonych o tej porze roku – wysokogórskich hal. Można tu spotkać bardzo rzadkie błękitne owce – prawie dwukrotnie większe od swych pospolitych krewniaków oraz tajemniczą śnieżną panterę.

Na Przełęczy Kunzum, gdzie stoi kilka stup i mała świątynia buddyjska, oprócz ciężarówek i autobusów zatrzymuje się mnóstwo samochodów z turystami. Z przełęczy po raz ostatni podziwialiśmy szczyt CB13 otoczony koroną buddyjskich flag modlitewnych, a nasz kierowca wznosił modły za bezpieczeństwo drogi, malując na czole nową płamkę tika. Paszporty przed wjazdem do Spiti zostały skontrolowane na posterunku policji w miejscowości Losar. Po szybkiej naprawie pompy paliwowej w naszej tacie, wyruszyliśmy w dalszą drogę.

Zaludnienie Spiti jest gęstsze niż wschodniego Lahulu – jest tutaj nawet nieco zieleni. W ramach akcji zalesiania posadzono miejscami zarosła rachitycznych wierzb i topoli; pojawiły się też uprawy. Płaskie dachy małych, białych domków przylutych do stoków gór przystrajają pęki chrustu i płodów rolnych. Może to wynikać z bliskości Dharamsali – miasta, w którym rezyduje po ucieczce z Tybetu Dalaj Lama. Dotacje dla buddyjskich klasztorów płyną widać szeroką strugą, choć nie uchroniły wszystkich budowli od upadku. W najlepszej kondycji znajdu-

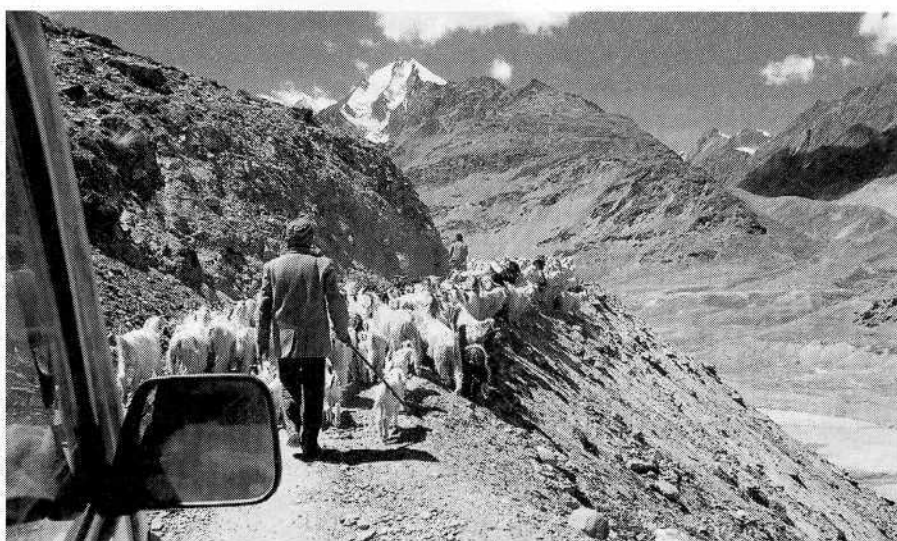


Awaria samochodu –
wymiana koła



je się Ki Gompa, przypominająca miniaturę Lhasę, oraz najstarszy Tabo Gompa, wybudowany w 996 roku.

Klasztory buddyjskie wyglądają jak małe wioski, położone są na wysokich wzniesieniach górujących nad dolinami. Czasami to prawdziwe skalne gniazda, jak Dankhar Gompa, do którego nasz „jeep” wdrapywał się po 20 stromych serpentynach. Większość dawnych zabudowań klasztornych świeci tutaj pustką. Nieśmiało zaglądaliśmy do wnętrza i wspinaliśmy się na dachy i skały, żeby podziwiać uciekające w dół widoki doliny. Na ścianach dawnej świątyni oglądaliśmy niszczące lamaistyczne malowidła. Cisza zmacona jest tylko odgłosami wiatru i trzepotem modlitewnych chorągiewek. Montu zniknął gdzieś, ale za chwilę woła nas do jedynego kilkupiętrowego, zamieszkałego domu. Siedząc w kucki na podłodze, rozmawia w hindi z jedynym mnichem – zostało ich tutaj dwóch i mały, może 7-letni nowicjusz, kręcący się wokół. Mnich nie mówi po angielsku, ale jak większość Tybetańczyków jest uprzejmy i cały czas się uśmiecha. Opoдал w opuszczonej części klasztoru sympatyczny młody chłopak opiekuje się



małym schroniskiem, gdzie można odpocząć i przenocować za grosze, a herbatę z klasztornymi wotywnymi ciasteczkami spróbować za darmo.

Kilkadziesiąt kilometrów dalej leży najsłynniejszy, ale i najbardziej pełny turystów i buddyjskich pielgrzymów Tabo Gompa, wyjątkowo postawiony w dolinie, pośrodku wsi. Na ścianach kilku świątyń Tabo królowie-lamowie średniowiecznego Królestwa Zachodniego Tybetu kazali umie-

ścić piękne, kolorowe malowidła, dzięki czemu znalazł się on na liście Światowego Dziedzictwa. Może właśnie tutaj Wielki Tłumacz Ring Cheng Bzan Po biedził się nad przełożeniem sanskryckich buddyjskich tekstów dla użytku tybetańskich lamaitów. Takie właśnie teksty w postaci plików długich kartek owiniętych w pomarańczowe tkaniny i ściśniętych w dwie deseczki spoczywają w przegródkach wielkiej bibliotecznej szafy, która w



Jeziora Chander Tal – hinduski odpowiednik Morskiego Oka

klasztorach zajmuje zwykle całą ścianę. Pieczołowite odwijanie i ponowne zawijanie takiej księgi trochę trwa, a trud mnicha, który nam to pokazał został nagrodzony odpowiednim wkładem do „donation box”.

Nielatwo zobaczyć malowidła Tabo Gompa, bo wewnątrz świątyni nie ma oświetlenia elektrycznego. W słoneczny dzień przez drzwi i świetlik dachowy wpada dość światła, aby w tajemniczym półmroku, pośród rzeźb unoszących się w powietrzu bodhisattwów i zębatach demonów, ujrzeć jeszcze całkiem żywe barwy. Ten nastrój spokoju, tajemnicy i uduchowienia to najważniejsze wspomnienie, które wynieśliśmy z Lahulu i Spiti. Nie znaczy to jednak, że zajmowaliśmy się tam tylko medytacjami. Niezłe piwo (w tym licencyjny Okocim!) dociera nawet do najwyższej położonej wioski o nazwie Kibber (4200 m n. p. m.). Niestety, nasz Montu odczuł wyraźnie różnicę w zastosowaniu słowiańskich i aryjskich organizmów do nadmiernego spożycia napojów alkoholowych. Mogliśmy nawet urządzić wieczór wokalny, śpiewając na przemian polskie i hinduskie piosenki z oficerami łącznikowy-

mi, oraz prowadzić dyskusje przy ognisku na temat świętych krów i nicości ludzkiego bytu w hinduizmie.

Przy ostatnim blasku dopalającego się ogniska, które rzucało słabe światło na wznoszące się tuż nad namiotami skalne iglice, podjęliśmy decyzje dotyczące dalszej podróży. Rano obudził nas łopot buddyjskich flag modlitewnych, które rozpieliśmy między namiotami. Spakowaliśmy cały dobytek wyprawy do samochodu i ruszyliśmy w długą drogę powrotną do Manali. Późnym wieczorem dotarliśmy do Przełęczy Rothang. Silny opad śniegu uczynił drogę jeszcze bardziej karkołomną niż 3 tygodnie temu, kiedy przekraczaliśmy przełęcz po raz pierwszy. Dlatego pełni podziwu obserwowaliśmy europejskich rowerzystów, którzy w śniegu po obręcze brnęli do góry. Po drugiej stronie przełęczy klimat zmienił się diametralnie. Wilgotne, ciepłe powietrze pozwoliło odpocząć od wiatru i kurzu, który towarzyszył nam podczas podróży po Spiti i Lahulu, a także było wybawieniem od upału i monsunu panującego w środkowych Indiach. Postanowiliśmy pozostać w Manali kilka dni

i wczuć się w atmosferę tego nietypowego miejsca. Miasteczko słynie ze swoich świątyni, gorących źródeł i... jednych z najlepszych w całych Indiach konopi indyjskich. Marihuana ściągnęła do Manali hippisów i do dzisiaj żyje tutaj całkiem spora grupa beztroskich przybyszów z Europy i USA. Nas jednak interesowały Indie. Czekano nas piekło Delhi, niesamowite pałace Orshy, kamienne perełki świątyni Kajuraho i mistyczny Ganges w Benaresie. Ale o tym w następnej części naszej relacji.

ŹRÓDŁA

1. Romuald Karaś: Himalajska Tragedia; Almapress 1983, Warszawa.
2. Budka Suflera: Cień Wielkiej Góry; tekst: A. Sikorski, muzyka: L. Lipko & K. Cugowski.
3. Zarząd Koła Lubelskiego Klubu Wysokogórskiego: Sprawozdanie z wyprawy rekonesansowej w rejon Lahul (Himachal Pradesh) w Indiach; z archiwum Zygmunta Nasalskiego.

FOTOGRAFIE:

Paweł Krawczyk, Piotr Paprzycki
Mariusz Baskurzyński, Michał Gryglicki,
Rafał Dmowski

Podróż w czasie

czyli jak himalajska wyprawa Medycznego Klubu Turystycznego zwiedzała Indie

W Indiach czas ma inny wymiar niż w naszej kulturze. W kołowej wizji czasu, jak w cyklu reinkarnacji, historia stoi w miejscu. W Benaresie i Mathurze nad Gangesem i Jamuną Hindusi jak przed tysiącem lat zażywają oczyszczających kąpieli w świętych rzekach, a na stosach płonących ghatów dopalają się doczesne szczątki pielgrzymów, którzy dotarli tu, aby umrzeć. Opodal brzegów tych samych świętych rzek uderza zgiełkliwa współczesność. Wśród motorowych i rowerowych riks, królują wielkie i barwne ciężarówki oraz małe, zwinne samochodziki osobowe.

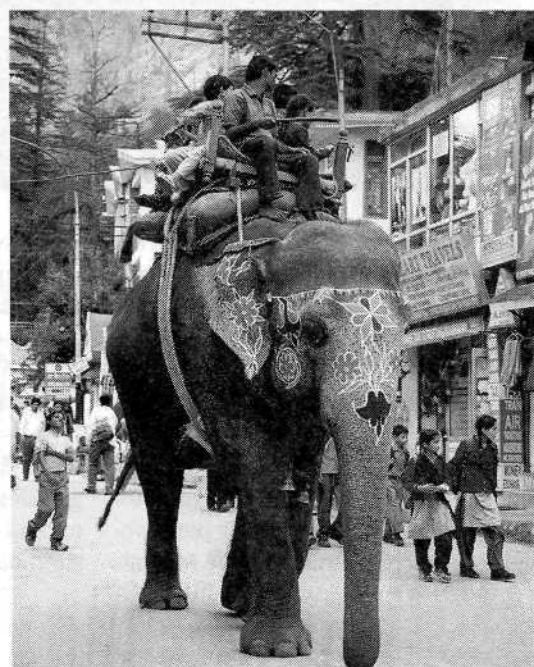
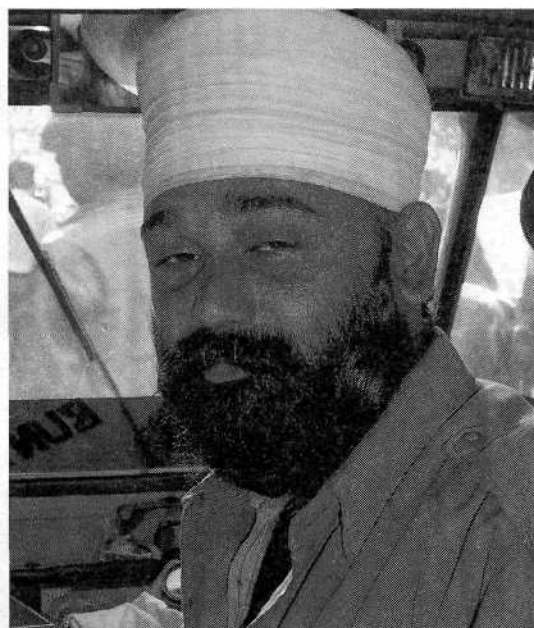
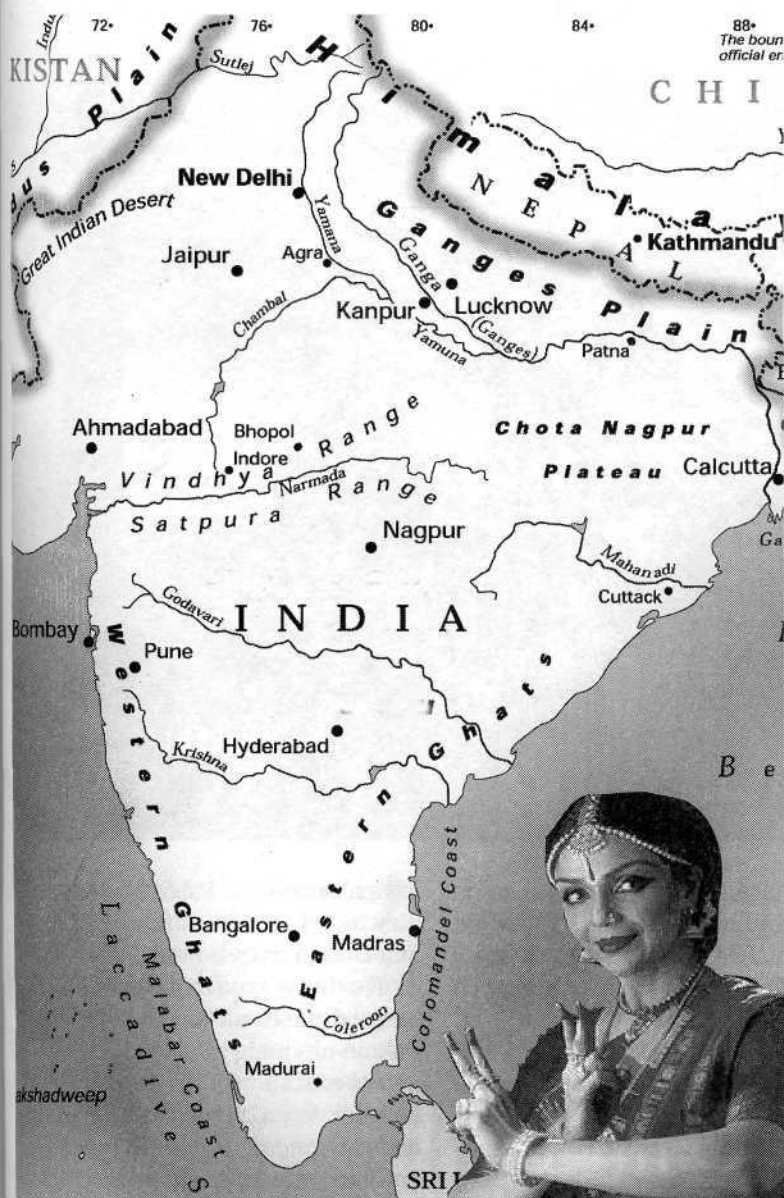
DR N. MED. PAWEŁ KRAWCZYK

KATEDRA I KLINIKA PNEUMOLOGII,
ONKOLOGII I ALERGOLOGII
UM W LUBLINIE

DR N. MED. PIOTR PAPRZYCKI

INSTYTUT MEDYCYNY WSI
W LUBLINIE

Cechą indyjskiego krajobrazu są niespotykane u nas kontrasty. W ponad miliardowym społeczeństwie Indii, kilkaset milionów stanowią najubożsi ludzie na świecie. Żyjące pod gołym niebem rodziny za jedyny majątek mają zniszczone ubrania, a chorzy na trąd wyciągają w zniekształconych dłoniach żebracze miseczki. Wielu ludzi żyje i pracuje w warunkach, które nie zmieniły się od kiedy narodziła się cywilizacja „indyjska” 45 wieków temu nad brzegami Indusu w Mohendżo Daro i Harappie. Z drugiej strony, 100 milionów Hindusów można uznać za bogaczy. Są wśród nich właściciele gigantycznego koncernu Tata, który wytwarza niemal wszystkie indyjskie samochody, ale także telewizory, żelazka, telefony komórkowe i przetwory spożywcze, a nawet podzespoły rakiet kosmicznych, wykorzystywanych w indyjskim projekcie podboju kosmosu. W najnowocześniejszych laboratoriach powstaje nie tylko technologia kosmiczna, ale też indyjska bomba ją-



drowa, będąca przeciwwagą dla pakistańskiego programu zbrojeń. Hindusi z jednej strony słuchają krzykliwej muzyki rodem z tandetnych superprodukcji Bollywood – największego kompleksu wytwórni filmowych na świecie, z drugiej kultywują dawne kastowe struktury społeczne i religijne. Nie ma takiego drugiego państwa na świecie, w którym religia byłaby tak silnie związana z życiem codziennym. Wyznawcy hinduizmu i buddyzmu uważają, że tak jak czas zatacza koło, tak los człowieka, z góry przesądzony i zależny od uczynków popełnionych w poprzednich wcieleniach, przebiega przez kolejne reinkarnacje w niekończącym się kołowym narodzin i śmierci (samsara). Tylko nieliczni mogą się z niego wyzwolić przez najwyższe oświecenie, w buddyzmie określane nirwaną. Stąd wynika zupełnie różna od naszej mentalność Hindusów, ale i niesamowity urok Indii. Ich odmiennosc od te-

Są tu meczety, świątynie sikhów i dżinijskie, a także małe kapliczki ku czci Bogini Kali, boga-słonia – Ganeshy, Śiwy, Wisznu i innych bóstw z zagmatwanego hinduskiego panteonu



go, co znane i zrozumiałe dla Europejczyka, powoduje, że żaden podróżny nie zostanie wobec nich obojętny.

Rozdział Pierwszy – Delhi

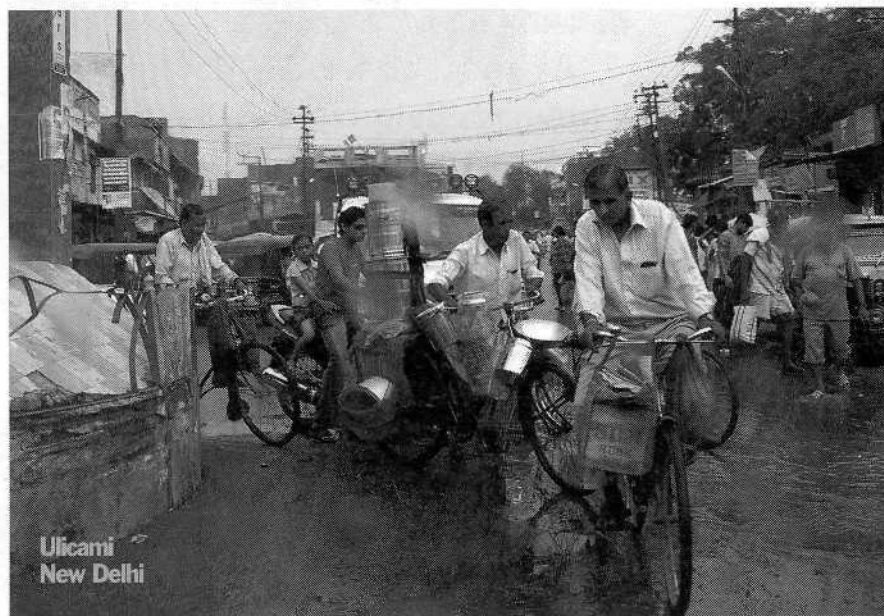
Niemal każda wyprawa himalajska ląduje w Delhi. Delhi jest nie tylko stolicą, gdzie mieszczą się urzędy państwowe, w których można załatwić formal-

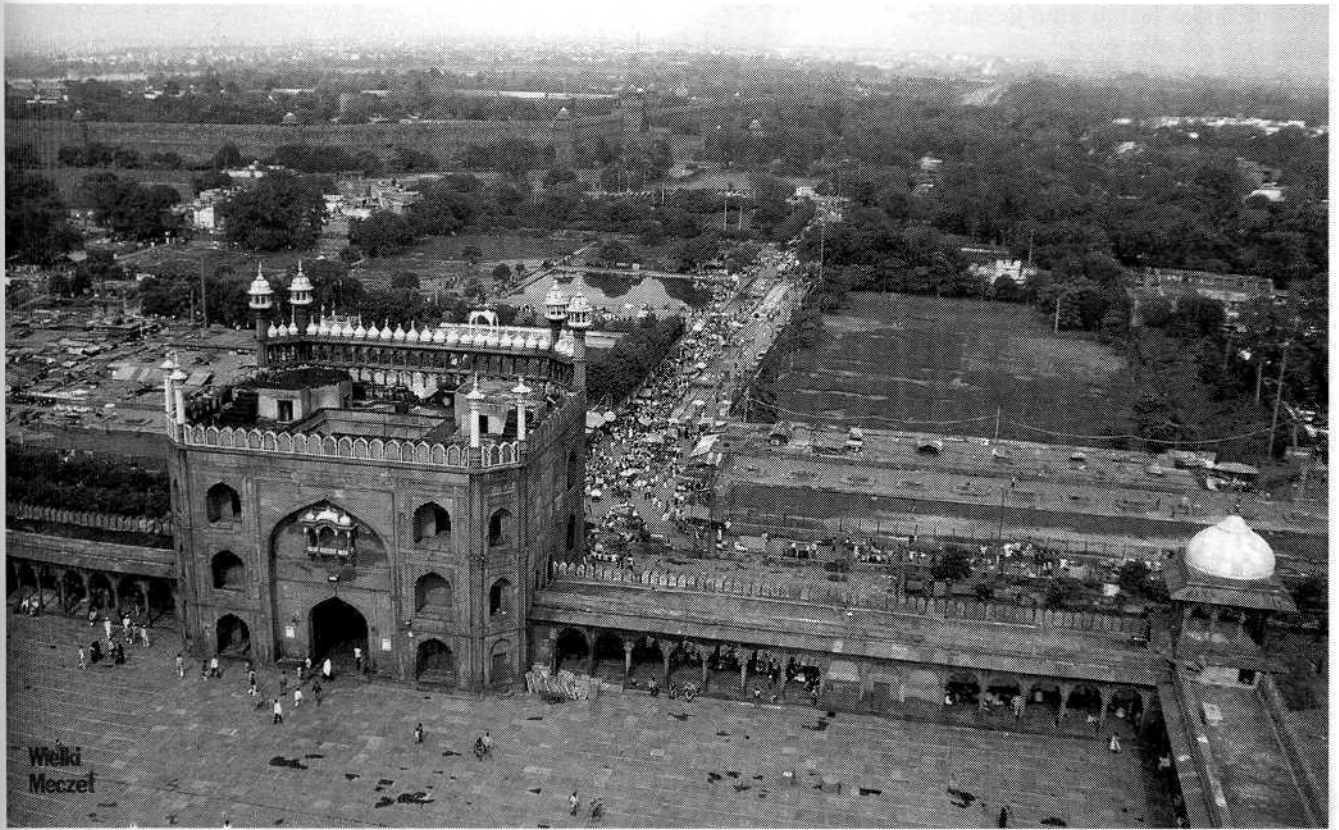
ności związane z wyprawami w rejon Kaszmiru, Ladakhu, Spiti, Garhwalu i Kumaon. Jest także głównym portem przesiadkowym dla wypraw udających się w Wysokie Himalaje Nepalu.

Nasza wyprawa składała się z sześciu osób: **Mariusza Baskurzyńskiego, Rafała Dmowskiego, Michała Gryglickiego, Emila Klimka, Pawła Krawczyka i Piotra Paprzyckiego.** Jak przystało na wyprawę niskobudżetową za-

trzymaliśmy się na Pahargandżu – dzielnicy tanich hoteli, stanowiącej strefę buforową między nowym i starym Delhi. Nocleg w typowym hotelu na Pahargandżu nie należy do komfortowych. Pokoje nie mają zwykłych okien, a jeśli nawet można wyjrzeć na chybotały balkonik, to widać tylko hałaśliwą, brudną i zadymioną uliczkę. Temperatura powietrza rzadko spada poniżej 30 stopni, a jego wilgotność w porze monsunu wynosi prawie 100 procent. Nic więc dziwnego, że wielu ludzi traktuje pobyt w Delhi, jak zło konieczne przed wyruszeniem w góry, i nie opuszcza klimatyzowanych pokoi.

Nas jednak ciekawość i konieczność uzupełnienia ekwipunku wyprawy wypchnęły na ulicę. Na północ od Pahargandżu rozciąga się wielki Sadar Bazar, na którym w ciasnych uliczkach można kupić niemal wszystko. Niedoświadczonego turystę, po zagłębieniu się w brudne i kręte uliczki, pełne ludzi, psów i świętych krów, czeka z pewnością zgubienie drogi. Nieco dalej, na wschód od Sadar Bazar rozciąga się Stare Delhi. Przy głównej ulicy – Chadni Chowk, znanej z licznych sklepów z pamiątkami, znajdują się najważniejsze świątynie wszyst-





kich religii Indii. Są tu meczety, świątynie sikhów i dżinijskie, a także małe kapliczki ku czci Bogini Kali, bogasłonia – Ganeshy, Śiwy, Wisznu i innych bóstw z zagmatwanego hinduskiego panteonu.

Odwiedzamy świątynię sikhów, którą strzegą uzbrojeni w długie miecze wojownicy. Wnętrze świątyni sprawia przyjemne wrażenie i przypomina dom weselny ustrójony mnóstwem kolorowych baloników. Możemy poruszać się bez skrupowania po całej świątyni i obserwować śpiewających sikhów, którym przewodzi dwóch świętych mężów, siedzących na podwyższeniu pod złożonym baldachimem. Wszyscy mężczyźni posłuszni są zakazowi obcinania włosów, które chowają w przemyślnie zaplecionym turbanie. W latach 80-tych radykalowie sikhijscy żądali utworzenia własnego państwa – Khalistanu, którego stolicą byłby Amritsar w Pendżabie. Zamieszki osiągnęły takie nasilenie, że premier Indii – Indira Ghandi, wykorzystując oddziały wojskowe, które siłą usunęły uzbrojonych sikhów ze Złotej Świątyni w Amritsarze. Żołnierze zbezczeszczyli świątynię, wchodząc do niej w butach. W 1984 roku Indira Ghandi zo-

Nie ma takiego drugiego państwa na świecie, w którym religia byłaby tak silnie związana z życiem codziennym

stała w odwecie zamordowana przez sikha – członka własnej ochrony.

Miasto Delhi jest świadectwem zagłady starożytnych Indii i potęgi jej średniowiecznych niszczycieli. Stara cywilizacja wedyjska, kultura eposów Ramajany i Mahabharaty, zrodziła się w XV wieku p. n. e. Pokrewne nam plemiona Aryjskie najechały terytorium dzisiejszych Indii i odziedziczyły o tysiąc lat starsze tradycje kultury Indusu. Cywilizacja ta między VIII i XIII wiekiem n. e. sama uległa szablomuzułmańskiej. W Old Delhi znajdują się liczne pamiątki po panowaniu islamskich Mogołów w XVI i XVII wieku. Sześciu słynnych cesarzy mogolskich panowało nie tylko nad terenem współczesnych Indii, ale także nad Pakistanem, Bangladeszem i Afganistanem skąd pochodzili. Wielki Meczet (Dża-

ma Masdzid) i Czerwony Fort (Lal Kila) w Old Delhi zostały wzniesione z czerwonego piaskowca przez ekstrawaganckiego cesarza Szachdżachana. Wielki Meczet dzisiaj, jak przed wiekami tętni życiem. Z minaretów rozlega się głos muezina nawołujący do modlitwy. Ze szczytu południowego minaretu roztacza się imponująca panorama Delhi. W tym miejscu można zrozumieć jak gigantyczną metropolią jest miasto, w którym być może żyje nawet 20 milionów mieszkańców. Czerwony Fort to obecnie tylko cel turystyczny. Tablica informacyjna przy marmurowej Sali Audiencji Prywatnych cesarza Aurangzeba mówi, że w tym miejscu znajdował się słynny Pawi Tron, zbudowany z czystego złota i ozdobiony ptakami wyrzeźbionymi w szlachetnych kamieniach. W zamienionych w

muzeum budowlań trudno jednak doszukać się dawnej świetności.

Na południowych rubieżach Delhi są jeszcze dwie dobrze zachowane pamiątki po panowaniu muzułmanów – wspaniały grobowiec cesarza Humajuna i ruiny Qutab Minar. Minaret Qutab – symbol Delhi i jeden z najstarszych zabytków stolicy, jest 73-metrową wieżą zwycięstwa, którym muzułmanie przypieczętowali w 1193 roku początek swojego panowania w Indiach. Kompleks Qutab Minar wzniesiono na ruinach wcześniejszej hinduskiej świątyni. Pamiątką po niej jest żelazny słup o niezwykle czystości metalu, który dał powód do dywagacji na temat pozaziemskiego pochodzenia stopu. 2000 lat temu nie było bowiem odpowiedniej technologii do produkcji nierdzewnych stopów żelaza.

Nieopodal Czerwonego Fortu nad brzegami Jamuny znajduje się cichy Las Pokoju, kontrastujący ze zgiełkiem ulicznym Old Delhi. Są tutaj miejsca kremacji pierwszego premiera Indii – Jawaharlara Nehru i jego córki Indiry Gandhi. Płyta z czarnego marmuru w Radż Ghat wskazuje miejsce,

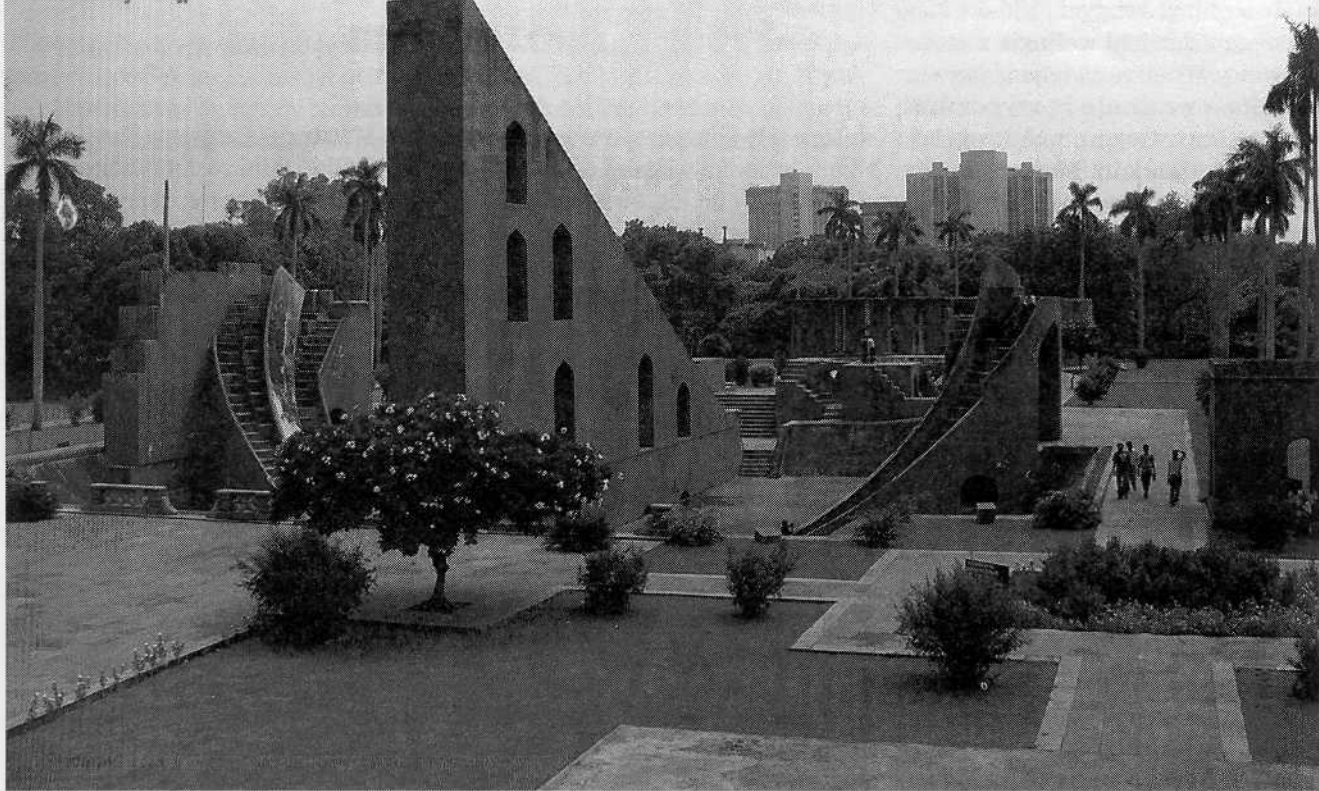
gdzie dokonano kremacji Mahatmy Ghandiego, który zginął w 1948 roku z ręki hinduskiego fanatyka. Nie brakuje tutaj pielgrzymów oddających cześć ojcowi narodu indyjskiego, który nawołując do biernego oporu i nie stosowania przemocy wobec Brytyczków, przyczynił się do powstania niepodległych Indii. Upadek kolonii nazywanej „Perłą w Koronie Brytyjskiej” spowodował jednak czystki etniczne wywołane przez zwalczających się nawzajem muzułmanów i hindusów, śmierć tysięcy ludzi i jeden z największych exodusów w dziejach ludzkości. W celu zapobieżenia wojnie domowej doszło do podziału Indii. Powstał Pakistan i Bangladesz – państwa zamieszkałe głównie przez wyznawców Mahometa. Do dzisiaj Kaszmir jest terenem spornym. Wysoko w Hi-

malajach przebiega linia demarkacyjna, której Indie i Pakistan nie uznają za oficjalną granicę i rozmieściły wzdłuż niej swoje armie.

Zmęczeni tłokiem Starego Delhi wsiadamy w motorowe riksze, żeby dostać się na szerokie i czystsze aleje Nowego Miasta. Centrum turystyczne i handlowe mieści się na Placu Connaught, dziwnie cichym i spokojnym mimo popołudniowej pory dnia. Wy tłumaczeniem dla tej ciszy jest przypadająca na dzisiaj (15 sierpnia) 61 rocznica przekazania przez brytyjskiego wicekróla – Louisa Mountbattena władzy hinduskiemu przywódcom: pierwszemu premierowi Indii – Jawaharlarowi Nehru i Mahatmie Gandhiemu. Dzień niepodległości Indii jest wolny od pracy. Premier Indii przemawia do tłumu zgromadzonego pod Bramą Lahore Czer-

Tadź Mahal prezentuje się wspaniale i słusznie zaliczany jest do cudów świata nowożytnego

Obserwatorium
astronomiczne
maharadży Dżajpuru





Tadž Mahal

wonego Fortu. Jednak większość mieszkańców Delhi woli świętować tańcząc i puszczając latawce z dachów i balkonów swoich domów, albo urządzając piknik na trawnikach wzdłuż alei Radżpath (Królewskiej Drogi).

Radżpath prowadzi od dawnego symbolu władzy brytyjskiej – rezydencji wicekróla Rasztrapati Bhawan – (dziś siedziba prezydenta) do Bramy Indii. Jest ona łukiem triumfalnym poświęconym pamięci żołnierzy indyjskich poległych w I Wojnie Światowej i w angielsko-afgańskiej wojnie w 1919 roku. Wspomniane budowle i całe założenie architektoniczne Królewskiej Drogi, jest dziełem brytyjskiego architekta – Edwina Lutyensa. W okolicy wznoszą się inne budynki rządowe – gmachy ministerialne, parlament (Sansad Bhawan) oraz Muzeum Narodowe z pamiątkami po pierwszych cywilizacjach dawnych Indii. W skład New Delhi wchodzi także dzielnica ambasad i ekskluzywnych hoteli, przez którą przyjdzie nam wielokrot-

nie przejeżdżać, załatwiając formalności związane z wyprawą w Indian Mountaineering Foundation (IMF). W trakcie tych podróży spotykamy następne atrakcje. Nieustannie mijamy pomnik Gandhiego, przedstawionego jako ojciec narodu indyjskiego i kolorową świątynię bogini Lakszmi, powstała w XIX wieku za pieniądze bogatego przemysłowca Birlego. Niedaleko jest także niezwykle obserwatorium astronomiczne maharadży Dżajpuru – Dżaji Singha II, którego główną konstrukcją jest mierzący 20 m wysokości Książę Zegarów Słonecznych. Wokół XVII wiecznego obserwatorium wznoszą się nowoczesne, wielopiętrowe biurowce biznesowego centrum Delhi.

Rozdział Drugi – Agra i Mathura

Obowiązkowym punktem każdej wycieczki po Indiach jest zwiedzanie mauzoleum Tadž Mahal. W oczekiwaniu na oficjalne pozwolenie na wspi-

naczkę w regionie Himalajów Lahul, wyruszamy wynajętym samochodem do Agry – stolicy stanu Uttar Pradesh. 200-kilometrowa „autostrada” łącząca Delhi i Agrę to jedna z najbardziej niebezpiecznych dróg w Indiach. Teoretycznie jest drogą dwupasmową, pozwalającą na rozwinięcie znacznej prędkości ale nagminnie są na niej pojazdy jadące pod prąd. W miastach i wioskach ruch staje się tak wielki, że trudno opisać go europejskimi miarami. Samochody osobowe i ciężarowe, autobusy, riksze, rowerzyści i piesi, a także krowy przesuwały się w bezustannym ruchu. Ten gigantyczny korek posuwa się jednak na przód, tylko dlatego, że nie obowiązują żadne przepisy ruchu drogowego. Nawet największa szosa staje się drogą wielopasmową i trudno dociec, w którym miejscu kończy się dziurawy asfalt, a zaczyna pobocze. Riksze, autobusy i ciężarówki przewożą wielokrotnie więcej pasażerów i bagażu niż można sobie wyobrazić. Jedyną sprawną czę-

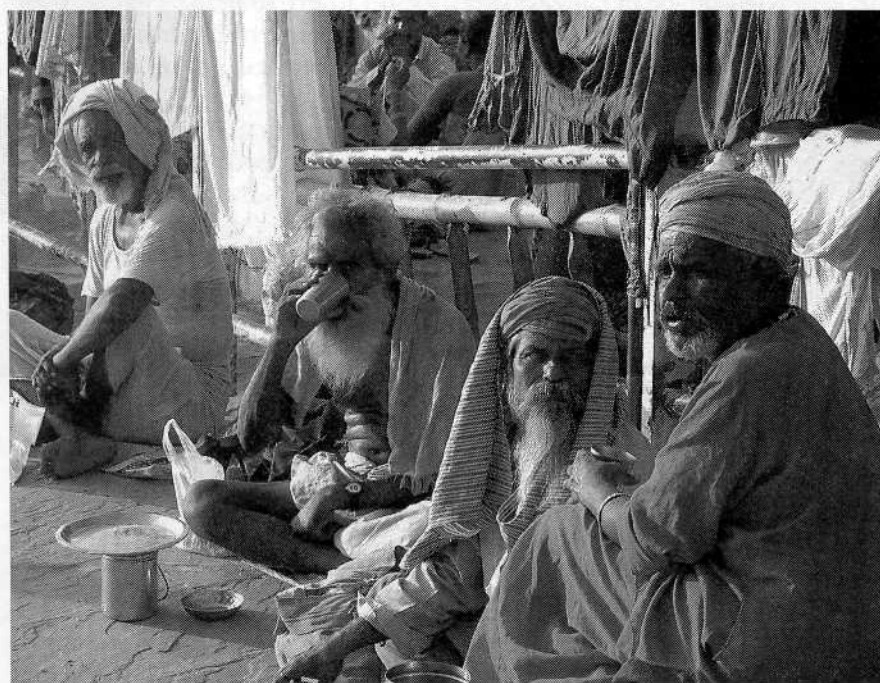
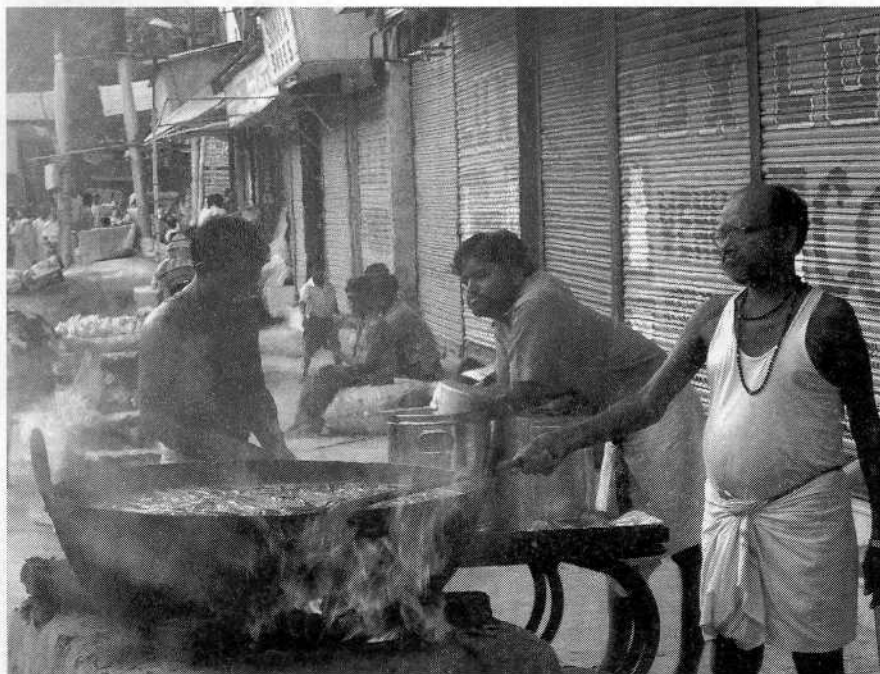
ścią samochodu jest zazwyczaj klakson. Pełni on funkcję kierunkowskazu i świateł, ale często kierowcy używają go po prostu dla fantazji. W nocy jazda samochodem jest śmiertelnie niebezpieczną przygodą (w Indiach notuje się blisko 100.000 ofiar wypadków drogowych rocznie). Większość małych pojazdów jest nieoświetlonych, a duże samochody poruszają się wyłącznie na długich światłach. Jedyną korzystną zmianą, którą w ostatnich latach obserwuje się na hinduskich drogach wydaje się brak nieoświetlo-

nych słoni i wielbłądów, które zostały zastąpione przez ciężarówki.

Nasz kierowca zaplanował dla nas standardową trasę zwiedzania. Jej pierwszym punktem jest mauzoleum cesarza Akbara. Grobowiec wzniesiony z czerwonego piaskowca strzegły kiedyś langury. Obecnie ciszy najpotężniejszego mogolskiego cesarza nie zakłócają ani przepędzone małpy, ani zbyt liczni turyści. Zupełnie inaczej jest w forcie w Agrze, do którego docierają liczne grupy zwiedzających z pobliskiego Tadžu. Rezydencja cesarza mo-

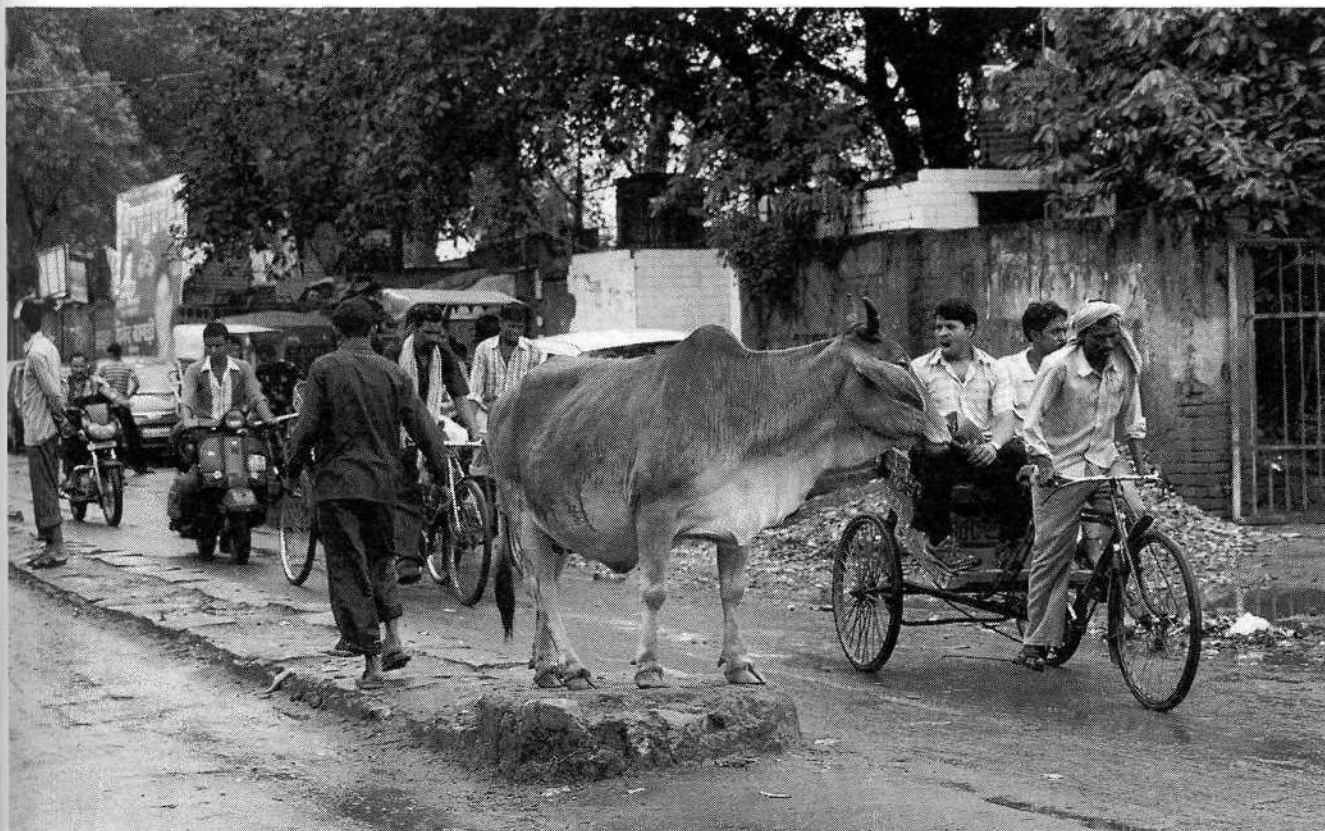
golskich w Agrze zachowała się w lepszym stanie niż jej odpowiednik w Delhi. Fort składa się z bogato zdobionych Sal Audjencji Prywatnych i Publicznych, marmurowych pałaców cesarzy i ich żon, a także ogrodów mogolskich, łaźni i meczetu. Z murów obronnych roztaczają się wspaniałe widoki na pły-

Na dworcach i w pociągach odnosi się wrażenie, że połowa mieszkańców kraju właśnie wyruszyła w podróż



nącą leniwie Jamunę i wznoszącą się nad nią białą bryłę Tadž Mahal.

Najważniejszym punktem wycieczki do Agry jest oczywiście mauzoleum Tadž Mahal. Przed wejściem czeka nas jednak niemiła niespodzianka. Zdążyliśmy się już przyzwyczaić, że ceny biletów dla Europejczyków są dziesięciokrotnie wyższe niż dla hinduskich turystów. Na porządku dziennym są także kontrole bagażu i ubrania, prowadzone przez policję przed wejściem do muzeów w obawie przed atakiem terrorystycznym. W przypadku zwiedzania Tadžu dodatkowym problemem są nieprzeliczone tłumy turystów. Gigantyczna kolejka zapowiada kilkugodzinne oczekiwanie, ale w Indiach wszystko można kupić, płacąc znacznie więcej niż usługa jest warta. Korzystamy z płatnej oferty naganacza, który po prostu wprowadza nas do kolejki. Okazuje się, że do środka mogliśmy dostać się legalnie bez kolejki dzięki naszemu „europejskim” biletom. W przypadku Tadžu możliwe jest jeszcze jedno kuriozum. Religia muzułmańska wymaga zdjęcia butów przed wejściem do świątyni. W Tadž



Mahal można kupić „szpitalne” ochraniacze i poruszać się po całym mauzoleum w butach.

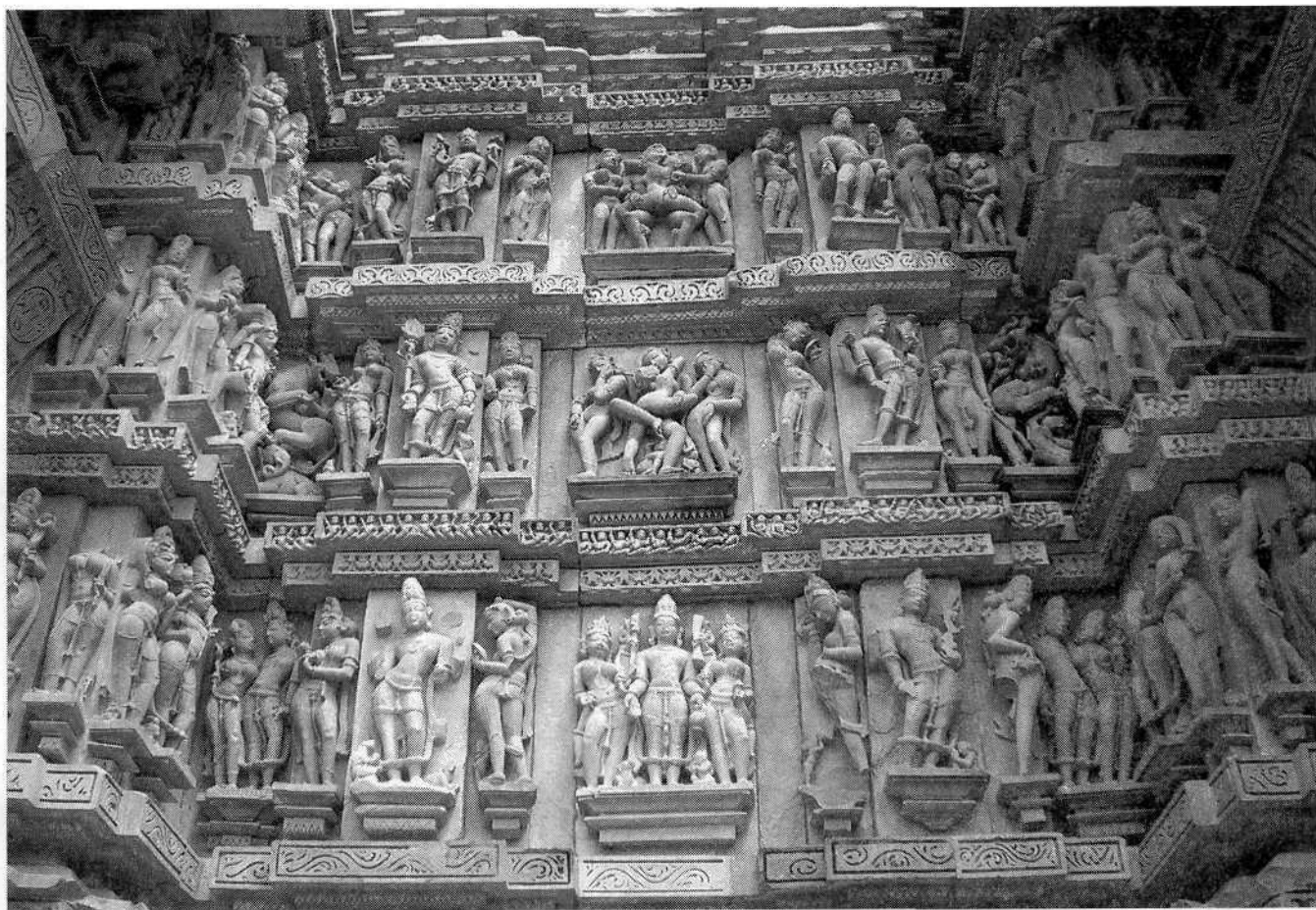
Tadź Mahal prezentuje się wspólnie i słusznie zaliczany jest do cudów świata nowożytnego. Najbardziej charakterystyczny jest widok gigantycznego mauzoleum i czterech minaretów z białego marmuru, odbijających się w tafli wody podłużnego basenu. Nie ma chyba albumu o Indiach, w którym nie byłoby zdjęcia mauzoleum, przedstawiającego jak kolor jego ścian zmienia się w zależności od pory dnia. Tadź Mahal został wybudowany przez 20.000 robotników na zlecenie Szahdżahana. W mauzoleum została pochowana ukochana żona cesarza – Mumtaz Mahal, która zmarła przy porodzie czternastego dziecka. Budowa Tadź Mahal i innych architektonicznych ekstrawagancji pochłonięły jednak tak pokątną część cesarskiego skarbcza, że syn cesarza – Aurangzeb, żeby przerwać rujnujące państwo wydatki, uwięził własnego ojca w forcie w Agrze. Przez wiele lat Szahdżahan patrzył na biały Tadź i marzył o budowie czarnego mauzoleum dla siebie po drugiej stronie Jamuny, by ostatecznie spocząć u boku swojej żony.

W drodze powrotnej do Delhi, musieliśmy na naszym kierowcy zmienić trasy. Skręcamy z głównej szosy na błotnistą drogę biegnącą do Mathury. „Wieś”, licząca ponad 250 000 mieszkańców, ściąga licznych wyznawców Hare Kriszny. W świątyni Kesawy 3 500 lat temu przyszedł na świat Śri Kryszna Dżanmbhumi. Świątynia, będąca jednym z najważniejszych miejsc pielgrzymek, znajduje się pod ostrym wojskowym nadzorem. Nie-hindusom wolno wejść do środka, pozostawiając wszystkie rzeczy, a zwłaszcza aparaty fotograficzne, przed bramą. Utrudnienia są na tyle istotne, że rezygnujemy z próby zwiedzenia świątyni i wy-

ruszamy riksą nad brzeg Jamuny. Wzdłuż świętej rzeki, która rozlała się w porze monsunu na ponad 400 m szerokości, wznoszą się liczne ghaty. Do niedawna służyły do palenia zwłok. Dzisiaj są miejscem, w którym mieszkańcy i pielgrzymi zażywają oczyszczających kąpeli.

Zbliża się monsunowa burza. W chwili, gdy pierwsze ciężkie krople dotykają Jamuny, puszczamy na wodę łódkę z liścia z płonącej świeczką w środku za powodzenie wyprawy. Już wkrótce wyruszymy do Manali, a potem w masyw szczytów CB, wśród których czeka cel naszej wyprawy – lodowiec Batał i sześciotysięczny szczyt CB 13A.

Jedyną korzystną zmianą, którą w ostatnich latach obserwuje się na hinduskich drogach wydaje się brak nieoświetlonych słoni i wielbłądów, które zostały zastąpione przez ciężarówki



Rozdział Trzeci

– Orcha, Kajuraho i Benares

Po zakończeniu akcji górskiej w Himalajach Lahul, której przebieg został opisany w poprzednim numerze Alma Mater, wyprawa podzieliła się. Mariusz Baskurzyński postanowił realizować swoje pasje fotograficzne w jednym z najbiedniejszych miast świata – Kalkucie. Rafał Dmowski zdecydował się odpocząć na rajskich plażach Goa. Natomiast Michał Gryglicki, Emil Klimek, Paweł Krawczyk i Piotr Paprzycki dotarli do tybetańskiego królestwa Spiti na granicy Indii i Chin, a następnie wyruszyli w podróż po północnych Indiach.

Po ponad 3 tygodniach w górach wróciliśmy do Delhi, żeby rozliczyć wyprawę w IMF i zorganizować wypad nad Ganges do świętego miasta hindusów – Benaresu. Czekala nas podróż o długości ponad 2000 km i rozpoczęliśmy poszukiwania biura turystycznego, które w pewny sposób mogło przetransportować nas na drugi koniec Indii. W Delhi działa mnóstwo

mało wiarygodnych agencji turystycznych. Na szczęście trafiliśmy do tej godnej zaufania. Biuro Incredible India zapewnia ciekawy sposób podróżowania. Mieliśmy wykupione miejscówki na wybrane pociągi oraz zapewniony samochód z kierowcą na trasie, tam gdzie nie było linii kolejowej, a także noclegi w hotelach.

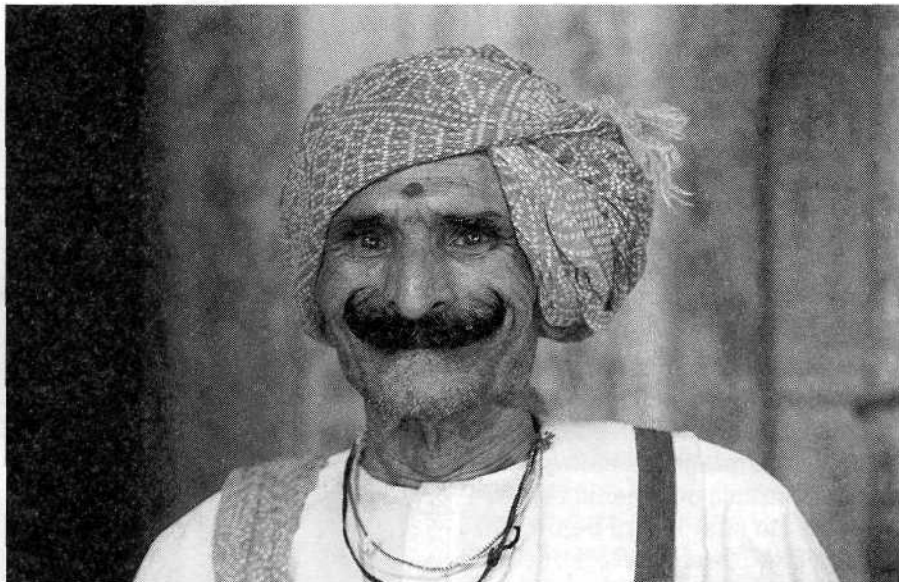
Ekspres Bhopal z zadziwiającą jak na Indie punktualnością wyruszył ze stacji Nizamudin w New Delhi. Jechaliśmy do miasteczka Jansi, w którym miał na nas czekać samochód. Rozpoczynaliśmy właśnie kolejny etap podróży po Indiach. Klimatyzowany wagon, w którym mieliśmy wykupione miejscówki, wyposażony był w rzędy lotniczych siedzeń, a obsługa serwowała poczęstunek na trasie. Pociąg rozwijał zawrotną prędkość i punktualnie dotarł do stacji docelowej. Niestety ten rodzaj pociągów należy w Indiach do rzadkości. Większość z ponad 70.000 km hinduskich linii kolejowych obsługują stare pociągi z psującą się klimatyzacją (lub bez), których opóźnienie może sięgać kilkunastu go-

dzin. Podróż indyjską koleją dla Europejczyka jest niezapomnianym przeżyciem nie tylko z tego powodu. Na dworcach i w pociągach odnosi się wrażenie, że połowa mieszkańców kraju właśnie wyruszyła w podróż. Wykupienie miejscówki w kasie graniczy z cudem, a na podróż zatłoczoną drugą klasą w 30-stopniowym upale decydują się tylko najbardziej odporni turyści. Indian Railways przewozi największą liczbę pasażerów na świecie (ponad 10 milionów dziennie) i jest największym indyjskim przedsiębiorstwem (zatrudnia prawie dwa miliony pracowników). W Indiach notuje się również największą liczbę katastrof kolejowych. Wysiadając w Jansi nie byliśmy jeszcze świadomi wszystkich atrakcji, których dostarczają indyjskie koleje, a ekskluzywny ekspres Bhopal uspił naszą czujność.

Byliśmy jedynymi turystami, wysiadającymi w Jansi. Na stacji znajdował się tłum taksówkarzy, hałaśliwa manifestacja mieszkańców, czekających na ważną polityczną osobistość, a także nasz kierowca. Niestety, na tablicz-

ce z tektury miał wypisane imię Adam. Faks z ksero naszych paszportów dotarł do placówki Incredible India w Jansi. Trzeba jednak przesiąknąć hinduskim sposobem rozumowania, żeby zorientować się, że imię wypisane na tabliczce jest drugim imieniem jednego z nas. Musieliśmy poznać się jeszcze raz, żeby w podobnych sytuacjach znać nasze drugie imiona.

Po kilkunastu kilometrach jazdy docieramy do Orchy – małej wioski na granicy historycznej krainy Malwa. Orcha w XVI i XVII wieku była stolicą królestwa Radżputów. Z przyjemnego hotelu, w którym znaleźliśmy nocleg, roztacza się fascynujący widok na wyschniętą o tej porze roku rzekę Betwa i wspaniały pałac zbudowany przez miejscowego władcę dla cesarza Dżahangira. Cała wioska otoczona jest pałacami Radżputów, których królestwo, choć znajdowało się w granicach cesarstwa Mogołów, zachowało pewną niezależność polityczną i religijną. Świątynie w Orchy wybudowane zostały ku chwale hinduskich bogów – Ramy, Lakshmi i wielu innych. Zwiedzanie pałaców dostarcza niezapomnianych przeżyć. Co chwila odkrywamy karkołomne przejścia

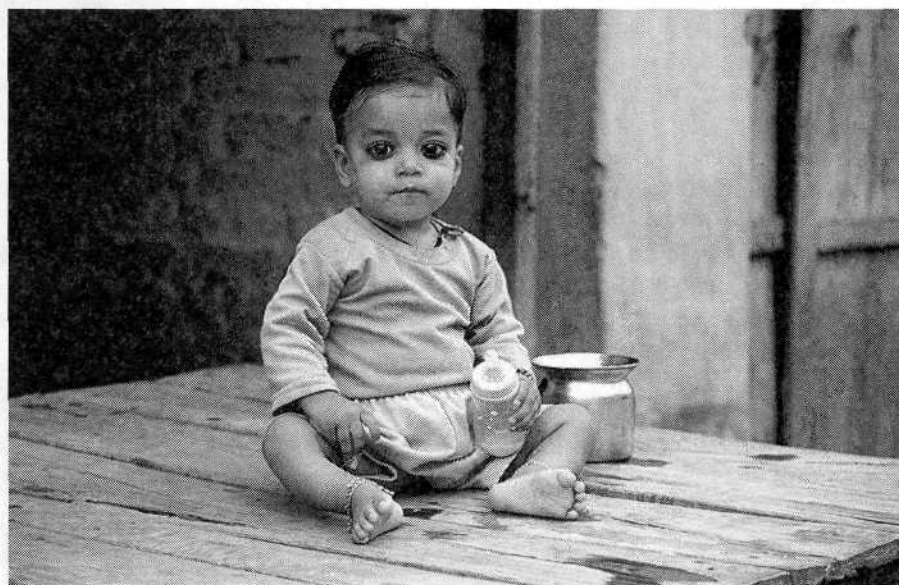


wśród murów budowli, zamknięte komnaty z zatartymi, ale jeszcze barwnymi freskami. W jednej ze świątyń samozwańczy przewodnik wyprowadza nas ciemnymi korytarzami pełnymi nietoperzy na sam szczyt sikhary – spiczastej kopuły zwieńczającej świątynię. Pod koniec dnia docieramy do grobowców dawnych władców miasta i uczestniczymy w dziwnej ceremonii poświęconej bogowi Ganeshy, którego przenośna plastikowa figura wydaje się przyglądać kąpiącym się w rzece ludziom. Nocna, monsunowa ulewa i ołowiane chmury dodają tajemniczego klimatu zapomnianej wiosce.

Kajuraho jest kolejnym przystankiem na naszej trasie. Wieś położona jest z dala od głównych szlaków komunikacyjnych i można do niej do-

trzeć wynajętym samochodem lub wycieczkowym autokarem. Odkrycie przez zachodnich turystów zabytków Kajuraho spowodowało gwałtowny rozwój infrastruktury hotelowej i powstanie małego lotniska. Dzielnica turystyczna, inaczej niż w Orcha jest zupełnie pozbawiona klimatu hinduskiej wioski, a jedyną jej zaletą jest sąsiedztwo zachodniej, największej grupy świątyń. Teren wokół świątyń został przekształcony w rodzaj parku archeologicznego, na terenie którego obowiązują drogie bilety wstępu. Warto zapłacić kilkaset rupii za możliwość podziwiania prawdziwych perełek architektury indyjsko-aryjskiej. Świątynie słyną z imponująco bogatych, kamiennych dekoracji, pokrywających każdy centymetr zewnętrznych i we-

**Dżinizm jest
jedną
z najmniejszych
religii świata,
której
podstawową
zasadą jest
powstrzymanie
się od
zadawania
cierpienia
wszystkim
istotom żywym**



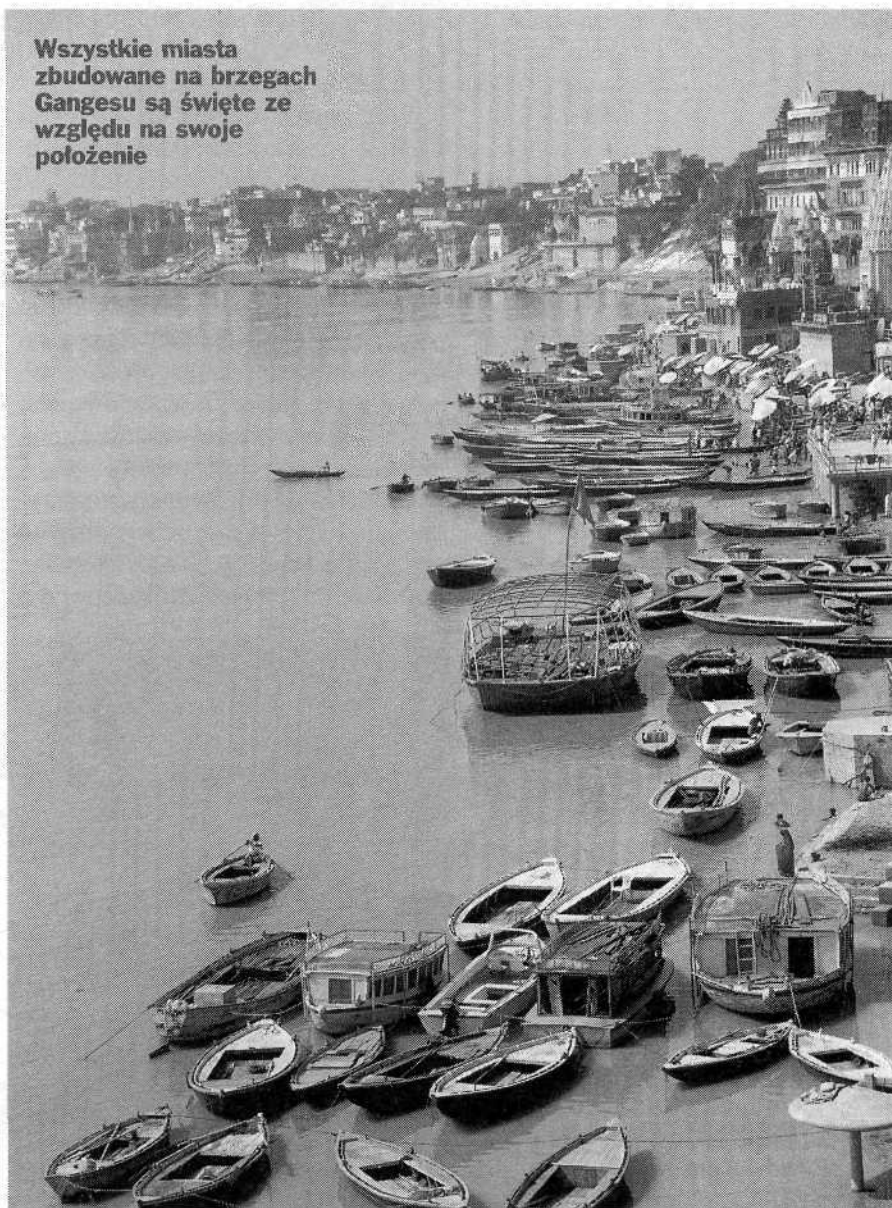
wewnętrznych ścian świątyń. Największą liczbą figur może poszczycić się świątynia Kandariji Mahadeo: 226 posągów o wysokości ponad jednego metra znajduje się w jej wnętrzu, a 646 na zewnątrz. Najbardziej znane rzeźby przedstawiają sceny erotyczne. Miethuny, obrazujące pozycje erotyczne i apsary – zmysłowe figury tańczących kobiet, stały się graficzną ilustracją Kamasutry. Wnikliwy obserwator znajdzie wśród rzeźb całe historie ukazujące Indie sprzed 1000 lat. Figury przedstawiają hinduskich bogów i boginie, przemarsze wojsk i bitwy z dokładną ilustracją uzbrojenia i sposobu siodłania koni i słońsi bojowych, sceny polowań oraz mitologiczne postacie zwierząt (np. śarduli, będącego połączeniem lwa z innym zwierzęciem lub człowiekiem). Są też sceny z życia dworu dynastii Čandelów, która rządziła Kajuraho przez pięć wieków do czasu najazdu Mogołów.

Zupełnie inaczej prezentują się świątynie położone na wschodzie i południu Kajuraho. Są one porozrzucane wśród zabudowań hinduskiej wioski oraz na podmokłych łąkach, na których pasą się bawoły i krowy. W tej grupie świątyń znajduje się najstarsza w Kajuraho świątynia Hanumana z 922 roku oraz świątynie dżinijskie. Dżinizm jest jedną z najmniejszych religii świata, której podstawową zasadą jest powstrzymanie się od zadawania cierpienia wszystkim istotom żywym. Skrajnym sposobem uniknięcia przypadkowego zabicia drobnych owadów jest oddychanie przez rurkę z sitkiem. Asceci dżinijscy (digambarowie) chodzą nago i można ich spotkać w nowej świątyni Śanti Nath zlokalizowanej w pobliżu starych świątyń wschodniej grupy.

Wieczór spędzamy nad wodospadami rzeki Khodar w pobliżu Parku Narodowego w Pannie. Rzeka płynie głębokim kanionem, którego niestety nie możemy obejrzeć z bliska. Ogrodzenia nie stanowią przeszkody, ale strażnik parku staje się natychmiast płatnym przewodnikiem i nie oddala się na krok. Opowiada o tutejszych niebezpieczeństwach: krokodylach, tygrysach i rwącej rzece. Khodar może być rzeczywiście groźna, o czym świadczą fotografie kanionu w porze monsunu.



Wszystkie miasta zbudowane na brzegach Gangesu są święte ze względu na swoje położenie



Urwiste ściany o wysokości ponad 50 m chowają się zupełnie pod taflą wody. Natomiast tygrysy trudno spotkać w Pannie. Zdecydowanie więcej żyje ich w słynnym Parku Corbetta.

Ostatni etap podróży do Benaresu wydaje się najbardziej skomplikowany. Wyruszamy w nocy w kierunku stacji kolejowej w Satnie. Po drodze nie spotykamy innych samochodów, ale wylegające się na środku drogi stada krów stanowią prawdziwe zagrożenie. W Satnie czekamy ponad dwie godziny na opóźniony pociąg, którego wagony przypominają rosyjskie plackarty. W Benaresie czeka na nas kolejny kierowca Incredible India i miła niespodzianka. Hotel ma standard, na który nie było nas dotąd stać, a odkryty basen z ciepłą wodą zmniejsza za-

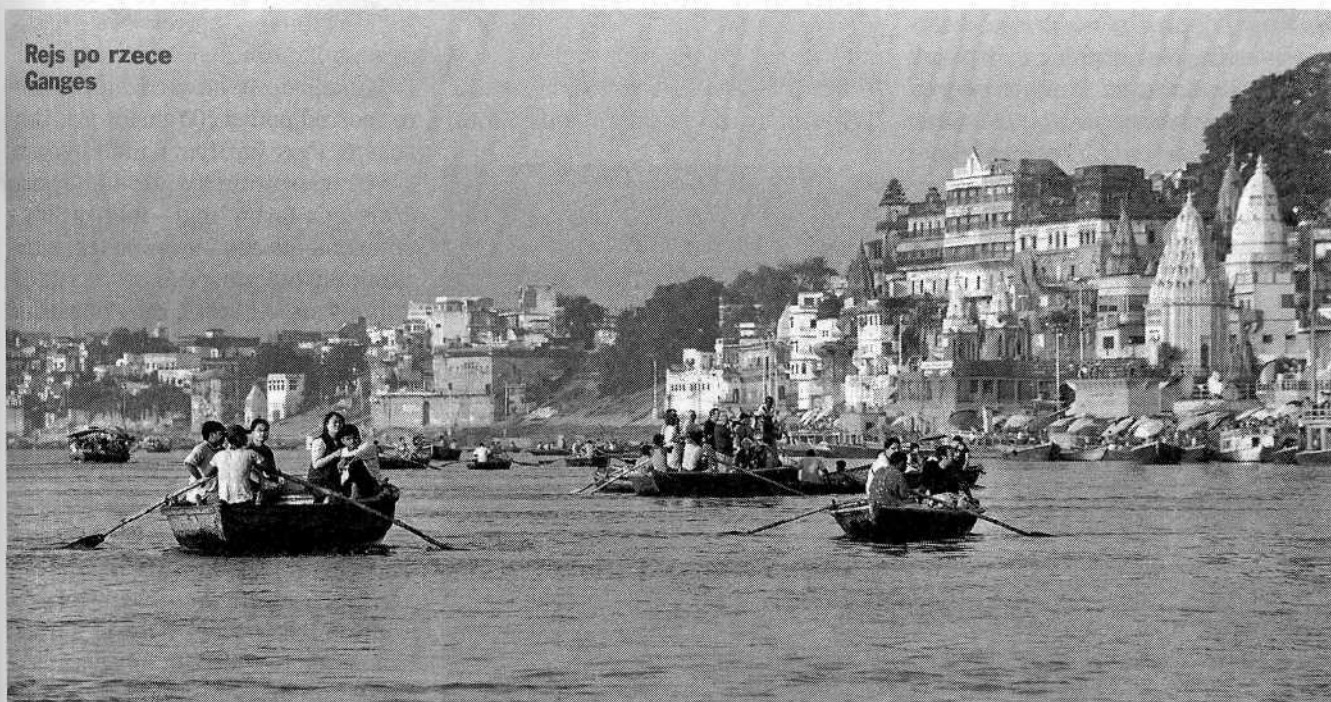
pał do zwiedzania. Zamawiamy kolację, na którą jak zwykle trzeba czekać prawie godzinę, mimo że obsługuje nas pokaźna grupa kelnerów. Hinduska, wegetariańska kuchnia już dawno stała się dla nas niestrawna. Thali – kilka różnych potraw z warzyw duszonych w sosie z curry podawanych z ćapatami albo dhal bat – ryż z sosem z soczewicy zastąpiły w naszym jadłospisie kurczaki tandoori lub birjani. Zadziwiające jest przedziwne wyspecjalizowanie kucharzy i kelnerów w przygotowaniu potraw. Mimo, że zamawiamy zwykle hinduskie potrawy, dostajemy nie te, które chcieliśmy zjeść. Dzieje się tak z dwóch powodów: właśnie skończyły się produkty lub kelner nie był w stanie zapamiętać całości zamówienia dla czterech osób. O zmia-

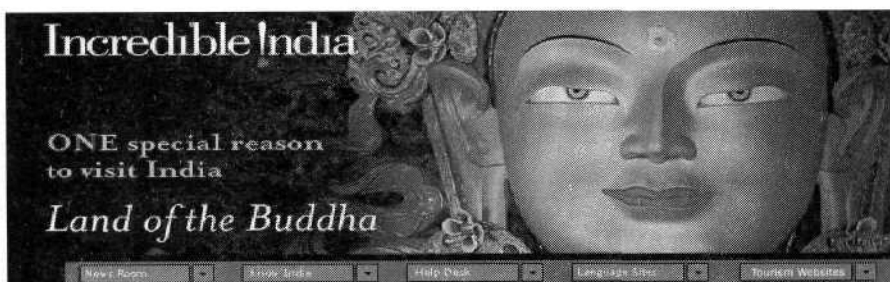
nach w zamówieniu nie jesteśmy nigdy informowani. Czasami te sytuacje są irytujące, zwłaszcza po wielogodzinnych podróżach, ale częściej żartujemy z nich, podchodząc do nich z iscie hinduskim dystansem. Na nasz spokój wpływają też niskie, nawet jak dla przybyszy z Polski, ceny jedzenia, noclegów i transportu.

Obowiązkowym punktem zwiedzania Benaresu jest rejs po Gangesie o wschodzie słońca. Około piątej rano docieramy do Ghatu Dasaswamedh, żeby wypłynąć wynajętą, wiosłową łodzią. W naszych planach nie jesteśmy osamotnieni. W tym samym czasie od ghat odbijają dziesiątki łodzi z turystami. Mimo to widok różowiejących ghat i pałaców nad brzegiem Gangesu pozostaje w pewnym stopniu mistyczny. Na schodach schodzących do wody aż roi się od kąpiących się pielgrzymów. Nagość jest nieprzyzwyczajona. Mężczyźni kąpią się przewiązani długim pasem tkaniny, natomiast kobiety nie zdejmują swoich barwnych sari. Na brzegu co chwila pojawiają się ubrani w pomarańczowe szaty święci asceci – sadhu z pomalowanymi w charakterystyczne białe pasy twarzami. Dopływamy do najważniejszej – płonącej ghaty Manikarnika. Budynki wokół okopcone są czarnym dymem. Wszędzie leżą sterty drewna. Płoną trzy stosy, a nietykalni, którzy stano-

Wzdłuż świętej rzeki, która rozlała się w porze monsunu na ponad 400 m szerokości, wznoszą się liczne ghaty. Do niedawna służyły do palenia zwłok. Dzisiaj są miejscem, w którym mieszkańcy i pielgrzymi zażywają oczyszczających kąpeli

Rejs po rzece Ganges





Incredible India!

wią najniższą kastę społeczną i zajmują się kremacją zwłok, właśnie przygotowują kolejnego zmarłego owiniętego w biały całun. Hindusi poświęcają często dorobek całego życia na dotarcie do Benaresu przed śmiercią i kupno odpowiedniej ilości drewna. Niestety, wielu z nich umiera w drodze lub na ulicach miasta. Zbyt mały stos grozi niedopaleniem ciała. Obserwujemy jak prochy z jednego ze stosów z resztką nie spopielonej nogi zsuwane są do Gangesu. Hindusi wierzą, że śmierć w Benaresie i powierzenie

prochów rzece wpływa na proces reinkarnacji i może zaowocować dobrym kolejnym wcieleniem.

Dobijamy do brzegu. Zewsząd otacza nas wielobarwny tłum. Nie sposób odgadnąć w jakim celu ludzie ci przybyli nad Ganges. Są tu pielgrzymi, kobiety piorące ubrania i sprzedające kolorowe płótno na sari, szkutnicy budujący nowe i łatający stare łodzie, kucharz gotujący w wielkim kotle zupę dla ubogich pielgrzymów, żebracy i trędowaci, asceci i bramini. Wyruszamy na poszukiwanie Złotej

Świątyni poświęconej Śiwie. Jest ona jedną z najbardziej strzeżonych i niedostępnych dla nie-hindusów świątyń. Żołnierze strzegą każdego metra w jej otoczeniu. To oddźwięk starego konfliktu między muzułmanami i hindusami, który zaczął się już w XII wieku. Później, za panowania Mogołów, stara świątynia Śiwy została zburzona, a na jej miejscu powstał meczet. Współczesna Złota Świątynia, której dach został pokryty 750 kg szczerzego złota, powstała w wieku XVII. Gruntownie zrewidowani i pozbawieni jak zwykle aparatów fotograficznych, jesteśmy wpuszczeni do wąskiej uliczki otaczającej mury świątyni. Pozwolono nam jedynie na krótkie zerknięcie na świątynny dziedziniec.

Od strony Złotej Świątyni wąskie i potwornie brudne uliczki doprowadzają nas do płonącego ghatu. Nie możemy zbyt długo przebywać w jego sąsiedztwie. Po chwili hindusi przypominają nam, że jesteśmy tu intruzami. Nigdzie w Indiach nie spotkaliśmy się z agresją wobec nas, jednak w Benaresie, jak nigdzie indziej, można odczuć dystans, który tworzy przepaść między naszymi cywilizacjami. To samo odczucie towarzyszyło nam w świątyni Durgi i świątyni Hanumana, w której małpy mają te same prawa co ludzie. Słuchaliśmy bicia dzwonów nie rozumiejąc ich znaczenie i nie mogliśmy przekroczyć pewnych zakazanych granic, o których istnieniu wiedzieli tylko hindusi.

Kilkakrotnie odwiedzamy niektóre spośród ponad 100 ghatów nad Gangesem. Przy każdym z nich wznoszą się przystrojone kwiatami i oblane czerwoną farbą lingi – fallusy Śiwy – opiekuna miasta. Licząc na lepsze zrozumienie otaczającego nas świata oddaliliśmy się od rzeki, żeby odwiedzić Uniwersytet Indyjski. Został on założony na początku XX wieku w celu rozwoju studiów nad sanskrytem, hinduizmem i indyjską sztuką. Uniwersytet położył wielkie zasługi w rozwoju języka hindi, który nacjonaliści wielokohinduscy chcieliby widzieć jedynym oficjalnym językiem Indii. W sensie architektonicznym uniwersytet przypomina nasze wyższe uczelnie. Abstrakcyjnie brzmią dla nas nazwy wydziałów. Astronomię zastąpiono tutaj





Abstrakcyjnie brzmią dla nas nazwy wydziałów uniwersytetu: astronomię zastąpiono tutaj kosmologią, a medycynę ayurwedą, czyli wiedzą o życiu.

kosmologią, a medycynę ayurwedą, czyli wiedzą o życiu. Nie brak też zupełnie współczesnych nazw poszczególnych zakładów – genetyki, immunologii i biologii komórek.

Tą transcendentną podróż kończymy w Sarnath – małym miasteczku

10 km od Benaresu, w którym 27 wieków temu Budda dostąpił całkowitego oświecenia. Po 49 dniach medytacji pod drzewem mądrości, Budda uwolnił się od cyklu narodzin i śmierci, wyznaczając drogę środka. Swoje cztery szlachetne prawdy o cierpie-

niu i ścieżce do ustania cierpienia wygłosił podczas kazania do pięciu uczniów w Sarnath. Wiele w tej historii analogii do życia Chrystusa. Pierwszą budowlą, która rzuca się w oczy w parku archeologicznym w Sarnath jest Stupa Dhamekh, zbudowana w V wieku na miejscu pierwszego kazania Buddy. Nieco młodsza jest strzaskaną kolumna cesarza Aśoki – pierwszego zjednoczyciela całego półwyspu indyjskiego. Nawrócony na buddyzm władca znany jest historykom z zamiłowania do drobiazgowej regulacji życia swoich poddanych licznymi, rytymi w kamieniu edyktami. Edykt taki znajduje się na kolumnie w Sarnath. Natomiast kapitel wieńczący kolumnę, znaleziony w 1905 roku, ozdobiony kołem prawości i sprawiedliwości (dharma-cakra), stał się godłem współczesnych Indii, widniejącym na fladze państwowej. Na fladze tej, kolor szafraonowy ma symbolizować hinduizm, a kolor zielony – islam. Biel oznacza pokój i pojednanie pomiędzy wyznawcami zwaśnionych wyznań.

Jak bardzo życzeniowa jest ta symbolika mogliśmy się domyślić podczas powrotu do Delhi. Nasz pociąg nie dotarł na końcową stację. Musieliśmy ewakuować się na przedmieściach z uwagi na gigantyczne opóźnienie spowodowane zamachami bombowymi przeprowadzonymi przez islamistów w głównych punktach Delhi. Na szczęście bez przeszkód następnego dnia dotarliśmy na lotnisko i odlecieliśmy po ponad pięciu tygodniach podróży do Polski. Indie żegnały nas ostatnim monsunowym deszczem.

Kilka miesięcy później najbardziej niezwykła demokracja na świecie, która w każdym innym zakątku świata stałaby się dyktaturą, przeżyła kolejny wstrząs. Indyjscy komandosi szykowali się do ataku na hotele Tadź Mahal i Trident-Oberoi oraz ośrodek żydowski, w których islamscy zamachowcy uwięzili kilkaset osób. Wojsko było bezwzględne – kilkaset osób zginęło. Na szczęście, my w tym czasie byliśmy już w zaciszach własnych domów.

FOTOGRAFWALI:

Paweł Krawczyk, Piotr Paprzycki, Michał Grylicki, Rafał Dmowski, Mariusz Baskurzyński